Cena egzemplarza

w W.Brytanii 6 d.
w Belgii 5 fr. b.
we Francji 10 fr. fr.
w Szwajcarii 0,40 fr.szw.
w Szwecji 60 öre
we Włoszech 30 lir

Warunki prenumeraty oraz adresy redakcji i administracji na str. 6.

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

Rok VII Wtorek 21 stycznia 1947 r. Nr 3 (237)

W NUMERZE

TADEUSZ BORN — Problem racjonalnego stosunku i współpracy
• • • — W republikach bałtyckich
J. P. — Spojrzenie „od Północy"
M. K. DZIEWANOWSKI — Samotna droga
CEZARY GOŁKOWSKI — Warszawa na ostrzu pióra
ON — Czytelnik w zwierciadle prasy
TADEUSZ NOWAKOWSKI — Canis bene merentium
(at) — Co chciałaby czytać młodzież w Kraju
Inż. A. GAC — Uran
GAMMA — Monarchia, w której rządzą komuniści
TADEUSZ OKSZA — Tajne śledzie
ST. R. — Przegląd gospodarczy

„WACHLARZ STRONNICTW"

Mówiąc o obecnym stanie ustrojowym w Polsce nie można przyjąć, że jest on tym właśnie, który z większymi lub mniejszymi odchyleniami będzie trwał bez zasadniczej zmiany. Taktyka obrana przez rządzących dzisiaj w Polsce ludzi zastosowana jest oczywiście do warunków i może być nawet — o tyle, o ile — odmienną od tej, którą oglądaliśmy w Rosji. Podkreślił to nawet w swoim obszernym przemówieniu p. Gomułka na zebraniu wspólnym PPR i PPS, odbytym w wyniku umowy o jednolitym froncie obu partii, zawartej dnia 28 listopada 1946 r., tłumacząc obszernie, czemu ta odmienna taktyka była w Polsce możliwa. P. Gomułka posunął się nawet tak daleko, że usiłował przedstawić ustrój w Polsce jako nie tylko odmienny od rosyjskiego, ale w ogóle całkowicie samodzielny, zarówno w stosunku do ustroju rosyjskiego, jak też do ustrojów zachodnich. Mówił on o „wachlarzu stronnictw demokratycznych", mającym rządzić w Polsce, pozornie w ten sposób odgradzając się od systemu monopartyjnego, jaki panuje w Rosji.

Jest co prawda rzeczą dosyć szczególną, że to podkreślenie nastąpiło właśnie z powodu umowy, ustalającej na razie tylko „wspólny front obu partii", jednocześnie jednak, jak czytamy w oficjalnym oświadczeniu, określającej jako cel współpracy PPR i PPS „jedność organiczną" polskiego proletariatu, czyli, jak się wyraża „Głos Ludu" (urzędowy organ PPR), „zjednoczenie obu partii w jedną Partię Robotniczą, stojącą na gruncie walki proletariatu i naukowego socjalizmu".

Takie zjednoczenie jest zresztą ogólnym dążeniem komunistów. Wymienione pismo donosi w tym samym artykule o założeniu we Francji organizacji „Amicales du Parti Ouvrier Français" (Koło Przyjaciół Francuskiej Partii Robotniczej), która to organizacja stawia sobie za cel, w myśl zresztą stałych wysiłków komunistycznych, doprowadzenie również we Francji do zjednoczenia partii komunistycznej i socjalistycznej. Należą do niej już jednostki z obu partii. „Głos Ludu" oczywiście gwałtownie atakuje przy tej sposobności „blumistowskie" dążenia w socjaliźmie francuskim. Niemniej charakterystyczne są wypadki we Włoszech, które doprowadziły do rozłamu u socjalistów na tle coraz bliższej współpracy z komunistami. Jeżeli dodamy przeprowadzone odrazu siłą zjednoczenie partii komunistycznej i socjalistycznej w okupowanej przez Rosjan części Niemiec, będziemy mieli już obraz zupełny. Wykazuje on, że polityka komunistów jest wszędzie ta sama. Wchłonięcie i unicestwienie w istocie odrębnej partii socjalistycznej.

Jest to oczywiście pierwszy krok do systemu monopartyjnego, cokolwiek by o tym komuniści mówili. W Polsce z „wachlarza stronnictw", będącego już dzisiaj tylko pozorem i utkanego z przejrzystego bardzo materiału, zostałaby nawet formalnie już tylko jedna partia z dwiema słabymi i nic nieznaczącymi przybudówkami. Bo chyba nikt już nie wątpi, kto śledzi postępowanie reżimu wobec PSL, że partia ta, obrzucona zresztą przez p. Gomułkę w jego przemówieniu najbardziej gwałtownymi zarzutami, skazana jest na zagładę, już nie przez próbę „przyjacielskiego" zjednoczenia, ale przez zwyczajne zadławienie jej siłą i terrorem.

Na niebosklonie politycznym w Polsce zarysowuje się więc w rzeczywistości nie „wachlarz" stronnictw, mających chociaż jakiś cień samodzielności, ale po prostu monopartia, która może dla takich czy innych celów rozporządzać jeszcze pewnymi małymi organizmami o nazwie stronnictw, ale w istocie będzie tylko jedna. Dwa ugrupowania, które mogłyby stanowić jeszcze jako tako samodzielne ośrodki polityczne, to jest PPS i PSL, rozkłada się obecnie i usuwa jedno — PPS — przez przyjacielską umowę i „zjednoczenie" (które nawiasem powiedziawszy też nie obyło się bez aresztowania osób niepoślusznych i rozłamu (Żuławski) oraz niszczenia w ten sposób odruchów przeciwnych), drugie — PSL — otwarcie drogą siły.

Ten rozwój nie może nikogo dziwić. Komuniści — podobnie zresztą jak hitlerowcy — wyrażają prąd, który w samej swojej najgłębszej istocie jest monopartyjny i będzie zawsze i wszędzie dążył do rządów totalitarnych. Może on do nich zmierzać rozmaitymi sposobami, zależnie od warunków, które spotyka i z którymi się musi liczyć. Ta giętkość taktyczna jest nawet znamienna dla partii komunistycznej i została obszernie i dokładnie uzasadniona i opracowana w pismach Lenina i Stalina. Tym bardziej więc należy się wystrzegać przy ocenie stosunków brania taktyki za istotę i słów oraz oświadczeń za wyraz prawdziwego dążenia. Błąd ten popełnia się bardzo często na Zachodzie i to tym więcej, im więcej pragnęłoby się w nich prawdę tę widzieć. Było to i jest źródłem wielu pomyłek w odniesieniu do hitleryzmu i do komunizmu.

Nie wolno nigdy zapominać, że komuniści nie są zwyczajnym stronnictwem politycznym. Komunizm jest sui generis „religią", którą nazwę „komunizm" wzięła wprawdzie z dziedziny gospodarczej, jako określenie specjalnego stosunku jednostki do dóbr gospodarczych, ale która zgoła nie wyczerpuje w tej nazwie swojego zasięgu. Komunizm jest wyznaniem całkowitego (integralnego) materializmu we wszystkich dziedzinach. W tym światopoglądowym jego charakterze spoczywa źródło totalitarnego systemu jego rządów. Wychodząc w najgłębszej swojej istocie z pewnej pierwotności umysłowej, są komuniści głęboko przekonani o całkowitej słuszności swojego światopoglądu we wszystkich najmniejszych nawet szczegółach. Jest to cechą każdej wiary. A kto uważa, że ma słuszność całkowitą, ten logicznie nie może przyznać słuszności innym, o ile poglądy tych innych różnią się od jego poglądów. Wniosek jest prosty; nie można pozwolić na istnienie niesłusznych poglądów.

„Wachlarz stronnictw" i w ogóle uznanie prawa istnienia różnych poglądów i w wyniku różnych ugrupowań, które je głoszą, a więc ustrój demokratyczny w rozumieniu zachodnim, uznający samodzielną opozycję, a wolę całości tworzący jako syntezę na podstawie uwzględnienia istniejących różnic, jest tylko wtedy możliwy, gdy poszczególne grupy ograniczają swoje poglądy do pewnych dziedzin, t.zn. nie są totalitarne w stosunku do całości życia, albo też co najmniej nie przywłaszczają sobie prawa do nieomylności.

Oznacza to, że nie uważają one swoich poglądów jako tak absolutną prawdę, iż nie może ona być podana w wątpliwość. Wtedy tylko mogą one dopuścić istnienie innego zdania i ugrupowań, które je wyrażają. Stąd zachodzi ustrój demokratyczny, w którym naprawdę istnieją różne samodzielne ugrupowania polityczne, można określić jako ustrój, w którym grupa rządząca nie uważa nieomylności własnej jako dogmatu.

Inaczej ma się rzecz z komunistami. Nie uznając świata pozazmysłowego, przenieśli oni dogmat nieomylności, właściwy każdej wierze, na sprawy czysto ludzkie i czysto materialne, to jest na sprawy, które inne religie właśnie z zakresu swojej nieomylności wyłączyły. Nie ma np. w chrześcijaństwie żadnego dogmatu nieomylności, który by obejmował dziedziny gospodarcze czy polityczne, a dogmat nieomylności papieża zgoła nie dotyczy spraw ustrojowych, gospodarczych, czy w ogóle spraw ziemskich.

Komunizm za to, nie uznając Boga i w ogóle świata pozamaterialnego, a mający wszelkie cechy wiary, siłą rzeczy swoje dążenie do absolutu i wynikającą z niego zasadę nieomylności rozciąga właśnie na te rzeczy, które prawdziwe religie uznają za czysto ludzkie, a więc podlegające omyłkom, chociażby nawet zdania o nich głosili przedstawiciele najwyższej hierarchii kościelnej. Stąd np. chrześcijaństwo znakomicie godzi się z ustrojem demokratycznym w rozumieniu zachodnim, mimo że jest wiarą, i głosi dogmaty nienaruszalne, a komunizm z tym ustrojem się nie godzi i zmierza do ujednolicenia poglądów we wszystkich dziedzinach życia ludzkiego. W praktyce wyraża się to w totalitaryźmie i zasadzie rządów monopartii.

Istnieją więc różnice w taktyce, jaką stosują komuniści w różnych krajach i warunkach, ale nie ma odchylenia od zasadniczego celu i wyniku jego zwycięstwa. Komunizm może więc dopuścić do istnienia kilku partii w okresie przejściowym, i to nawet przez niezbyt długi czas. Dochodząc do pełni władzy znieśie on jednak wszelkie nawet — pozorne odrębności „wachlarza stronnictw", uważając tylko wtedy swój cel jako urzeczywistniony, gdy zdoła uchwycić i ujednolicić wszystkie dziedziny życia w kraju, w którym zdobył władzę.

A. TOMICKI

GDY OPADA „KURS FRAZEOLOGICZNY"

JAN PODOLSKI

Londyn, w styczniu.

W chwili gdy Londyn, na skutek strajku kierowców, był niemal zupełnie pozbawiony mięsa i wielu innych produktów, gdy uwagę opinii zajmował ogłoszony przez rząd projekt ustawy o planowaniu miast i wsi, stanowiący dalszy etap socjalistycznej przebudowy — w tej chwili sprawy polityki zagranicznej zeszły na nieco dalszy plan, przynajmniej na razie.

Spośród aktualnych wydarzeń zmiana na stanowisku sekretarza Stanu w Waszyngtonie i moskiewska wizyta marszałka Montgomery'ego wywołały, rzecz jasna, najżywsze zainteresowanie. Objęcie przez gen. Marshall'a sekretariatu stanu powitano w Londynie z życzliwością, nie mniejszą od żalu z powodu odejścia p. Byrnesa. Wszyscy chwalą talenty organizacyjne i dyplomatyczne uzdolnienia nowego sternika amerykańskiej polityki zagranicznej — zdolności, które wykazał gen. Marshall zarówno na stanowisku szefa sztabu w okresie działań wojennych jak i później, w czasie trudnej swej misji nadzwyczajnego ambasadora w Chinach. Nie przewiduje się tu na ogół zasadniczych zmian w zewnętrznej polityce Stanów; ta stała się w okresie urzędowania p. Byrnesa sprawą ponadpartyjną i zyskała sobie poparcie obu wielkich odłamów opinii. Conajwyżej zwracają niektórzy uwagę na fakt dalszej „militaryzacji" dyplomacji amerykańskiej: gen. Marshall jest sekretarzem Stanu, gen. Mac Arthur politycznym pełnomocnikiem na Pacyfiku, gen. Bedell Smith, b. szef sztabu gen. Eisenhowera, ambasadorem w Moskwie. Komentarze na temat moskiewskiej wizyty szefa sztabu imperialnego marszałka Montgomery'ego były nader powściągliwe i sprowadzały się głównie (jak zresztą i wypowiedzi samego marszałka) do podkreślenia żołnierskiego i kurtuazyjnego charakteru tej wizyty. „Times" wyraził wprawdzie nadzieję, że pobyt marszałka Montgomery'ego w Moskwie przyczynił się do „bliższego prawdy" interpretowania stosunków angielsko-rosyjskich i też, „powinien ułatwić zadanie dyplomatów" na marcowym zjeździe w Moskwie. Jednak wszelkie na ten temat domysły były raczej przedwczesne.

Sprawa nadchodzących „wyborów" w Polsce jest w prasie brytyjskiej omawiana dość obszernie, zwłaszcza z okazji trzech coraz mocniejszych w tonie not, wystosowanych do Warszawy przez rządy W. Brytanii i St. Zjednoczonych. Z wyjątkiem, oczywiście, komunistycznego „Daily Worker'a", panuje w odniesieniu do tej sprawy całkowita jednomyślność i wszyscy zgodnie przewidują, że „wybory" te będą po prostu komedią, której przebieg jest z góry i w szczegółach obmyślany. Zwłaszcza po dwóch artykułach p. Margerity Higgins, ogłoszonych na pierwszej stronie „Daily Herald'a", szerokie rzesze czytelników tego pisma, organu „Labour Party", nie będą już miały żadnych wątpliwości co do istotnego charakteru „demokracji" warszawskiej. Fakt, że ostatnia nota zwrócona była również do Moskwy (jako sygnatariusza umów jałtańskich) z propozycją współdziałania na rzecz uczciwych wyborów, świadczy jedynie o tym, ile nieuniknionej ironii mogą zawierać dokumenty dyplomatyczne, gdy się zestawia rzeczywistość z ... papierem.

Można by zresztą powiedzieć, że trzeźwość i rzeczowość w odniesieniu do tego co się dzieje w „sowieckiej strefie wpływów" jest obecnie w modzie i że stopniowo zaczynają opadać owe tumany frazesów, wznoszone przez entuzjazm prosowieckiej, bezkrytycznej propagandy w okresie działań wojennych. Gdy powoli opada na ziemię ów kurz frazeologiczny, zasłaniający rzeczywistość, obraz, który się z poza niego ukazuje czynionymi, lecz raczej wzmocnienia w tej współpracy pozycji strony brytyjskiej i ubezpieczenie W. Brytanii przed skutkami dość ostrych zwrotów w polityce Stanów.

Trzeba przyznać, że dalsza argumentacja tego stanowiska podana w jednym z numerów socjalistycznej „Tribune", zawiera stwierdzenia mocno ugruntowane w niedawnej przeszłości. Gdyż poza obawami o ograniczenie traktatowej swobody W. Brytanii w jej polityce handlowej (na skutek amerykańskiej pożyczki) i obawami płynącymi z rosnącego angażowania się Stanów Zjednoczonych w sprawy Bliskiego Wschodu — „Tribune" obawia się zwłaszcza amerykańskiego „braku doświadczenia" we wszystkim, co się tyczy Europy. Bowiem pisała „Tribune":

„Rzeczywiście fatalny stan rzeczy w Europie zaczął się ostatecznie od polityki, pod którą Roosevelt i Churchill położyli swe podpisy w Teheranie — polityki całkowitego podziału Europy na strefy panowania sowieckiego i zachodniego. Politykę teherańską z jej uzasadnieniem „wszystko za cenę porozumienia z Rosją Sowiecką" da się pojąć z punktu widzenia historii Ameryki i amerykańskiego wstrętu do powikłań europejskich. Ale polityki tej z pewnością nie można zrozumieć z żadnego punktu widzenia biorącego pod uwagę historię Europy, ani z punktu widzenia politycznych, gospodarczych i kulturalnych potrzeb Europy po-hitlerowskiej.

„Pod tym względem polityka Stanów Zjednoczonych została w ciągu 1946 roku odwrócona w znacznym i ciekawym rozmiarze, bo przecież ostatecznie Roosevelt był głównym budowniczym Teheranu. Ale w polityce Stanów Zjednoczonych wobec Europy są dwie dziwnie ze sobą poplątane linie. Jej pierwszym aspektem jest trwała izolacjonistyczna chęć „odczepiania się", której przykładem jest slogan: „przywieźć chłopców z powrotem do domu".

Toteż „Tribune" ocenia obecny antysowiecki kurs polityki amerykańskiej z ostrożnością, równą krytycyzmowi wobec prosowieckiego kursu z okresu Roosevelta. Obawia się nowych zwrotów, po których W. Brytania pozostałaby sama. Przecież, aby polityka brytyjska w Europie szła naprzód powoli swoimi drogami w oparciu o współpracę z Francją i europejskimi ruchami socjalistycznymi. Doradza ostrożność dając już poza tym swe błogosławieństwo anglo-amerykańskiemu porozumieniu w dziedzinie standaryzacji uzbrojenia i w sprawie kontroli produkcji atomowej.

Publiczne ustalenie odpowiedzialności za Teheran jest rzeczą niewątpliwie ważną i dobrze się stało, że opinia brytyjska przez długi czas niezbyt świadoma tych spraw dowiaduje się wreszcie, co się kryło poza entuzjastycznymi komunikatami o porozumieniach i zaufaniu. Przysłowiowa oliwa powoli wypływa na wierzch.

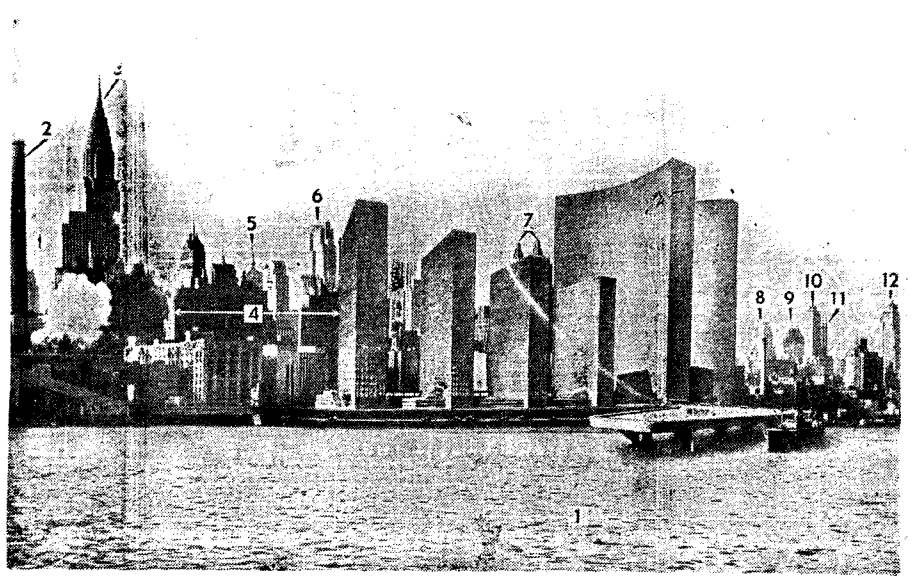

Widok wybrzeża Mahattan, dzielnicy drapaczy chmur w Nowym Yorku, z zaprojektowanymi budynkami, które mają być wzniesione dla pomieszczenia biur Organizacji Narodów Zjednoczonych. Cyfry na fotografii oznaczają budynki istniejące jak radiostacja, hotele itd.

Pochwała przeszłości i spojrzenie w przyszłość

Wydany w Londynie zbiór wypowiedzi przewódców brytyjskich z czasu wojny o wysiłku Polskich Sił Zbrojnych — wypowiedzi ogłoszonych w latach 1939 — 1946 — jest wydawnictwem cennym i szczęśliwie pomyślanym.)*

Kapitan Witold Leitgeber, który dokonał wyboru tych, jakże wymownych oświadczeń, wywiązał się ze swego zadania z umiejętnością i dyskrecją, godną uznania. Na 155 stronach zebrał on blisko 250 najważniejszych, przeważnie oficjalnych deklaracji, które składają się na jedną pochwałę żołnierza polskiego i narodu polskiego. Deklaracje te „mówią istotnie same za siebie". Czytelnik brytyjski, bo dla niego przede wszystkim jest przeznaczona ta książeczka, dowie się z niej, albo przypomni sobie, co Brytyjczycy, co ludzie, z których narody brytyjskie słusznie mogą być dumne, mówili i pisali o Polakach w latach, kiedy losy Imperium Brytyjskiego rzucone były na szalę. A przecież to, co zgromadził w wydawnictwie swoim p. Leitgeber, jest zaledwie cząstką tych przeróżnych oświadczeń, które słyszeliśmy w latach wojny o Polsce i o Polakach. Starannie wydaną książeczkę można by też w wielu punktach uzupełnić innymi jeszcze, jakże pięknymi i wzruszającymi słowami podziwu i pochwały ...

Słowa te padały przeważnie z ust brytyjskich szefów wojennych, z ust żołnierzy. Były dlatego szczere i otwarte. Nikt w szeregach polskich nie wątpił i nie wątpi, że były głoszone w duchu prawdziwej przyjaźni i żołnierskiej koleżeńskości. Dlatego też przyjmowane były tak, jak na to zasługiwały, z całą przyjaźnią i serdecznością.

Nie wszystkie bowiem pochwały żołnierz wita chętnie i z prostotą. Są pochwały, które go drażnią, do których odnosi się ze sceptycyzmem człowieka, znającego l e p i e j prawdę walki, prawdę wysiłku na polu bitwy, niż ten, co wysiłek ten z daleka ocenia. W tym wypadku tej dysproporcji nie było. Wiele mówi się i pisze o różnicach usposobień, dzielących Polaków i Brytyjczyków. Ale na pewno jedna cecha zbliżyła ich bardzo w ostatniej wojnie i stworzyła dość zasadniczy, a wspólny punkt widzenia na życie. Cechą tę było i jest przekonanie, że w walce przegrywa ten dopiero, kto uzna się za pokonanego i że ten tylko może być uważany za pełnego człowieka, kto wśród burzy „nie zmienia kursu", jak to w „Tajfunie" uzasadniał Conrad-Korzeniowski.

Niestety wartości te nie doczekały się nagrody po wojnie. Gnocie żołnierskiej towarzyszyły nieprzerwanie niemal w latach zawieruchy zasadnicze grzechy polityczne. Im bardziej oddalamy się od wojny, im więcej dowiadujemy się o tym, co działo się za kulisami, tym lepiej zdajemy sobie sprawę, jak bardzo polityka, a raczej polityki poszczególnych mocarstw nie stały na wysokości ofiar i poświęcenia żołnierzy, oraz całych narodów. A pisząc tak mamy na myśli nie tylko linie polityczne innych narodów, ale i naszą własną, która nie była wolna niejednokrotnie od krótkowzroczności i gubiła się nieraz w małościach, a nawet naiwnościach rozbrajających.

Stąd tragiczna dysproporcja między tym, co zrobiono w czasie wojny, a tym co osiągnięto, między tym, co zapowiadano, a tym, co się stało. Ofiarą tych sprzeczności padł nie tylko żołnierz polski, ale wszyscy niemal jego towarzysze broni, a m.in. i żołnierz brytyjski, który nie doczekał się również prawdziwego pokoju, na jaki zasłużył.

Tragizm, który jest udziałem naszego pokolenia, wieje też z kartek tej książki i trudno, bardzo trudno, wrażenie to odsunąć.

Weźmy kilka cytat. Jest dzień 30 września 1940 r. Pierwsze miesiące wojny. Winston Churchill, ówczesny Pierwszy Lord Admiralicji, przemawia przez radio:

„Któregoś dnia, w jednym z dobrze znanych portów brytyjskich dokonałem przeglądu załogi polskiego kontrtorpedowca. Rzadko kiedy widziałem lepszy zespół ludzi. Byłem zachwycony ich dyscypliną i postawą. Jednakże jak tragiczne było ich położenie: okręt ich jest na morzu, ale kraj ich zatonął. Lecz, gdy patrzyłem dokoła na wszystkie okręty wojenne, które stały na kotwicy i na wszystkie przygotowania czynione wszędzie, by prowadzić tę wojnę dalej i za wszelką cenę, dopóki to będzie konieczne, pocieszałem się myślą, że gdy ci polscy marynarze ukończą swą pracę przy boku Brytyjskiej Marynarki, podejmiemy szczególne starania, by znowu mieli oni ojczyznę, do której mogliby się udać" ...

To było w roku 1940. A w roku 1946 wiemy, jaki los spotkał polskie okręty wojenne i polskich marynarzy ...

Idziemy dalej. W święto narodowe polskie, w dniu 3 maja 1944 r., Ernest Bevin, ówczesny Minister Pracy i Służby Narodowej, na uroczystym zebraniu w Londynie, tak oto zakończył mowę do Polaków:

„Postawa waszych wspaniałych sił zbrojnych — żołnierzy, lotników i marynarzy oraz tych, którzy czekają na sposobność w waszym kraju, by uderzyć na wroga — jest najlepszym dowodem wiary w waszą prawość i zaufania w waszą umiejętność kierowania losami narodu polskiego, aż do czasów, gdy będzie mógł swobodnie wybierać sobie rządy według własnej woli, zupełnie wyzwolony i z całą machiną demokratyczną w pełni gotową do pracy ..."

Czytamy dziś te słowa i porównujemy je z tragiczną rzeczywistością w Polsce, gdzie odbywają się właśnie „wybory". Chwila swobodnych wyborów w Polsce jeszcze nie nadeszła. A zatem?

I jeszcze jeden cytat. Tym razem z mowy p. Edena w Izbie Gmin w dniu 15 grudnia 1944 r.

„Weszliśmy do wojny z własnej woli, według własnej decyzji, w wypełnieniu naszych rękojmi udzielonych Polsce. Jesteśmy jedynym krajem, który przetrwał wojnę nienaruszony w swoim terytorium i wszedł do wojny swobodnie i z własnej woli. Od czasu do czasu jest rzeczą słuszną, byśmy przypominali sobie oraz innym o tym ..."

Istotnie wolelibyśmy, by politycy brytyjscy sami o tym przypominali, niż gdyby to zadanie miało spadać na nas. Ale słowa p. Edena, wygłoszone w ostatnich miesiącach wojny, kładące nacisk na konieczność przypomnienia okoliczności, w jakich wojna zaczęła się, są jakby dowodem, że istnieje świadomość jej fałszywego zakończenia, no i że te słowa pochwały, uznania i podziwu, którymi otoczono żołnierza polskiego w tej wojnie, nie zamykają największej epopei wojennej świata. Czeka ona na swój finał właściwy, na urzeczywistnienie tych ideałów, które postawiono z chwilą, gdy zawierucha zaczynała się na ziemiach polskich.

I czy tylko ideałów? Złe zakończenie wojny jest nie tylko aktem niesprawiedliwości, ale przede wszystkim błędem politycznym. Brak niezależnej, niepodległej Polski jest jednocześnie jedną z przyczyn obecnego braku pokoju i bezpieczeństwa. I dlatego wydaje się, że w słowach wypowiedzianych w czasie wojny o Polsce i o Polakach wyrażał się obok szczerego podziwu również zdrowy instynkt polityczny.

Naród Polski nie walczył w tej wojnie o słowa uznania. Przedmowa do książki bardzo słusznie podkreśla, że tylko „namiętny patriotyzm" mógł wydobyć z żołnierza taką wolę walki o wolność i niepodległość. I dlatego czytelnik polski, przeglądając te pełne niespełnionych nadziei dokumenty, nie zachwieje się w wierze w słuszność swej sprawy. Wie on, że Polska żyć może tylko w Polakach i że tylko z nas samych czerpać możemy siły do dalszych wysiłków. Sprawa ta była zawsze zresztą jasno stawiana.

Gdy po bitwie o Monte Cassino miała się odbyć dekoracja Dowódcy 2. Korpusu wysokim odznaczeniem brytyjskim, generał Anders zwrócił się przed przybyciem na uroczystość marsz. Aleksandra z krótkim przemówieniem do stojących w szeregu żołnierzy, by jeszcze raz im przypomnieć, że „w bitwie o fortecę Cassino — walczyli o Polskę". W kilka chwil później marsz. Aleksander, wygłosił do żołnierzy po udekorowaniu gen. Andersa przemówienie, zakończone pamiętnymi słowami:

„Jeśli by mi dano do wyboru między jakimikolwiek żołnierzami, których bym chciał mieć pod swoim dowództwem — wybrałbym Was, Polaków".

Wspaniała ta ocena, jak i wszystkie inne, wymaga jednak koniecznego uzupełnienia: tajemnica postawy żołnierza polskiego w tej wojnie polegała na jego przekonaniu, że walczył o Polskę. I tak było istotnie. I to było zgodne z tradycją i ze stylem życia Polaków. I dlatego, cokolwiek się stało potem, walki Narodu Polskiego w tej wojnie pozostaną dla niego nie źródłem zwątpienia i goryczy, lecz wiary i wytrwałości. Z tym też uczuciem czytelnik polski będzie przeglądał kartki książki „It speaks for itself". Książki, która dotyka jednego z największych dramatów w dziejach.

RP.

*) *„It speaks for itself" — What British War Leaders said about the Polish Armed Forces, 1939 — 1946 — Selections from communiqués, speeches, messages and Press reports".*

Brytyjski samolot bezogonowy o napędzie odrzutowym „Armstrong-Whitworth AW-52"

Problem racjonalnego stosunku i współpracy

napisał TADEUSZ BORN

Poniższe uwagi, otrzymane z W. Brytanii traktujemy jako materiał dyskusyjny.

Postępująca powoli ale systematycznie demobilizacja Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie, aczkolwiek powiązana jest przyczynowo i swymi następstwami z wieloma procesami o znaczeniu międzynarodowym, to jednak w istocie swej i konsekwencjach dotyczy głównie naszych spraw wewnętrznych. W każdym bądź razie, ta strona tego zjawiska w obecnej chwili wybija się na plan pierwszy i stanowi w rozwoju wewnętrznego układu sił obozu niepodległościowego na obczyźnie moment zwrotny. Na tym tle wyrasta szereg poważnych problemów, z których jeden chciałbym na tym miejscu uwypuklić i omówić.

Od roku 1939 aż do chwil obecnych Rzeczywistość Polska, jeśli chodzi o tereny poza Krajem, skupiała się w ośrodkach wojskowych. Stwierdzenie to nie jest w najmniejszym stopniu przesadą, jeśli tylko w pełni uświadomimy sobie, czym było wojsko polskie na obczyźnie w tym okresie. Było ono nie tylko bazą i podstawą działania Naczelnych władz Rzeczypospolitej Polskiej, było nie tylko ośrodkiem, na który był skierowany wzrok Kraju, walczącego z okupantami, wzrok pełen nadziei, było ono nie tylko czynnikiem, który orężem i postawą wyrabiał pozycję Polski na forum międzynarodowym, ale było również ośrodkiem, w którym wytwarzała się myśl polityczna - ponadpartyjna, bezkompromisowa postawa ideowa, inicjatywa wielu poczynań oraz ich realizacja w dziedzinie organizacyjnej, społecznej, charytatywnej i wielu innych. Z niego czerpano zasoby ludzkie i materialne. P. S. Z. były Mekką, do której zmierzały tłumne rzesze łagierników, wyzwolonych z sowieckich i niemieckich obozów koncentracyjnych, jeńców z 1939 r. uczestników podziemnej walki w Kraju oraz wszystkich Polaków, rozproszonych po świecie.

Polskie Siły Zbrojne na obczyźnie nie były tylko wojskiem, lecz były czymś dużo, dużo większym i ważniejszym, przez swe różnorakie funkcje, których rozległość i ważność wzrastała w postępie geometrycznym w miarę upływu czasu i narastania trudności przed nami na forum międzynarodowym. Gdy nadejdzie moment odpowiedni i gdy zostanie opracowany i opublikowany pełny dorobek na wszystkich polach Polskich Sił Zbrojnych, wówczas dopiero będzie mógł każdy, chętny czy niechętny temu zjawisku, przekonać się o wielkości i ważności wykonanych zadań. Wówczas nikt nie będzie mógł z czystym sumieniem mówić wyłącznie o „charytatywnej" działalności wojska, pomijając milczeniem inne, równie ważne dziedziny.

Niezależnie od tego, gdzieśmy byli rozmieszczeni, i niezależnie od tego, jaki był procentowy (jeśliby to wogóle można tak obliczać!!) udział każdej z Wielkich Jednostek w tworzeniu czynnej polskiej rzeczywistości na obczyźnie — stanowiliśmy jednolitą masę Polskich Sił Zbrojnych. Byliśmy, Wojsko Polskie, jednością, pomimo wszelkie różnice, powstałe wskutek przebywania przez dłuższy przeciąg czasu w odmiennych warunkach, różnice w gruncie rzeczy nieistotne.

Rozproszeni w przestrzeni przez wiele lat skupiamy się teraz powoli na Wyspie, aby... Czyżby w istocie dlatego, aby przestać istnieć? Tak to bowiem wygląda z formalnego punktu widzenia. Przecież się demobilizujemy.

I oto powstaje problem. Jeżeli rzeczywistość polska do tej pory ogniskowała się w P. S. Z., w skupionej gromadzie żołnierskiej, to gdzie będzie się ona mieścić za pół roku, za rok, za dwa? przyjmując oczywiście, że w dalszym ciągu będą trwały warunki uniemożliwiające nam powrót do Niepodległej Polski.

W normalnych warunkach, po zwycięsko zakończonej wojnie, wojsko z chwilą demobilizacji wsiąka z powrotem w społeczeństwo, z którego wyszło. My jesteśmy całkowicie w odmiennej sytuacji: w społeczeństwo polskie, w normalne życie cywilne polskie w ramach własnego, niepodległego państwa, wsiąknąć nie możemy, a w społeczeństwo obce — wsiąknąć całkowicie i bez reszty, nie chcemy i nie wolno nam. Więc czym się mamy stać? — my gromada żołnierska. Czy mamy przestać istnieć całkowicie, jako siła rzeczywista, pozostawiając po sobie piękne imię, historię wspaniałych wysiłków, dorobek wielki choć niezakończony. Czy mamy się stać przebrzmiałą przeszłością, zapisaną i skończoną kartą, rozdziałem historii?

Czy całkowite zniknięcie tego zwartego organizmu przejdzie bezkarnie z punktu widzenia naszej dalszej walki o Niepodległość? Czy nie powstanie groźna, wiejąca chłodem unicestwienia, pustka w wewnętrznej strukturze obozu niepodległościowego na obczyźnie? Czy, z punktu widzenia jak najekonomiczniejszego wykorzystania naszych sił, których za wiele nie mamy, do walki o realizację Celu, jest rzeczą słuszną zbyt szybkie i łatwe zrezygnowanie z tego czynnika? A jednak demobilizować się musimy.

Odrzucając z góry dwie możliwości, o których wspomniałem wyżej, a mianowicie powrót do Kraju w obecnych warunkach oraz całkowite wsiąknięcie w społeczeństwo lub społeczeństwa obce, musimy się zastanowić nad przyszłością nie tego czy innego osobnika, ale nas wszystkich, jako Gromady, jako Całości.

Ponieważ jesteśmy skupieni na wyspie brytyjskiej i olbrzymia większość z nas powinna tu zostać jak najdłużej i zostanie, przeto powstają pytania: 1) czy żyjąca od czasu wojny na terenie W. Brytanii gromada ludzi cywilnych posiada warunki spełnienia wobec nas zdemobilizowanych żołnierzy P. S. Z., roli normalnego społeczeństwa, tzn. być tym organizmem do którego zwolnieni z szeregów wojskowych, wchodzilibyśmy jako cywile i 2) czy gromada ta stanowi dla masy żołnierskiej siłę atrakcyjną i dośrodkową na tyle wielką, że przeważy ona wszelkie inne siły odśrodkowe, działające tak wszechstronnie na każdego zdemobilizowanego żołnierza.

Rozważmy pytanie pierwsze. Aby tzw. cywilne społeczeństwo polskie na obczyźnie mogło spełnić wyżej określoną rolę, winny być zachowane następujące warunki: 1) winien istnieć pewien racjonalny stosunek liczbowy (w zwykłych warunkach wojsko stanowi maximum kilkanaście procent ogólnej liczby członków społeczeństwa); 2) winna być wszechstronnie rozwinięta organizacja wewnętrzna, obejmująca całokształt funkcyj społecznych, politycznych, gospodarczych, kulturalnych itp.; 3) winien być możliwie wszechstronny układ grup społecznych, zawodowych, kulturalnych itp.; 4) winny być spełnione minimalne przynajmniej warunki rozmieszczenia terytorialnego.

Uwzględniając przy rozwiązaniu każdego z tych punktów w jak największym nawet stopniu fakt, że jesteśmy w obcym kraju i że są to warunki bardzo specyficzne, musimy dojść jednak do odpowiedzi negatywnej: tzw. cywilne społeczeństwo w W. Brytanii nie jest w stanie spełnić, nawet w bardzo dużym zmniejszeniu, roli normalnego społeczeństwa wobec zdemobilizowanych żołnierzy P. S. Z.

Przyczyn jest wiele. Pierwsza: tutejsze społeczeństwo cywilne stanowi tylko niewielki procent ogólnej masy żołnierskiej. Druga: nie byłoby zjawiskiem ani normalnym, ani pożądanym, aby organizm mniej rozwinięty wchłaniał w siebie organizm w pełni rozrosły. Demobilizujące się P. S. Z. przedstawiały i przedstawiają dużą siłę organizacyjną, nie tylko z wojskowego punktu widzenia, ale i społecznego, gospodarczego i kulturalnego i spełniały wiele funkcyj, nieznanych zupełnie, lub prawie zupełnie polskiej gromadzie cywilnej, mieszkającej w W. Brytanii. Trzecia przyczyna: gromada żołnierska reprezentuje cały wachlarz społeczny polski, jest istotnym przekrojem normalnego społeczeństwa polskiego, co nadaje jej specjalną wagę, której lekceważyć nie wolno. Układ społeczny ludności cywilnej w W. Brytanii jest natomiast jednostronny i dość specyficzny. Czwarta przyczyna: wojsko jest i będzie rozmieszczone po całej W. Brytanii, podczas gdy „cywile" polscy skupieni są głównie w wielkich ośrodkach miejskich.

Zastrzegam się wyraźnie, że porównania powyższe nie mają na celu dyskryminacji cywilnego społeczeństwa polskiego lub licytacji w zasługach — lecz jedynie i wyłącznie stwierdzenie faktów, dla ustalenia postępowania na przyszłość.

Spójrzmy na tę sprawę trochę z innego punktu widzenia: kadry, ram organizacyjnych, zaczątków, które się rozwiną w miarę napływu elementu ludzkiego. Przeprowadzona jednak z tego punktu widzenia analiza doprowadza również do odpowiedzi negatywnej, gdyż wniosek wysnuty z obserwacyj jest następujący: obecna postać społeczeństwa cywilnego polskiego w W. Brytanii nie jest zmniejszeniem, choćby nawet bardzo dużym, normalnego społeczeństwa, lecz jest postacią zniekształconą. A geneza tego sięga aż do roku 1939, gdy z żywego organizmu polskiego wyrwane zostały strzępy, nie stanowiące nawet dla samych siebie całości, które w miarę upływu lat degenerowały się wskutek różnych przyczyn, zupełnie zresztą zrozumiałych, i w chwili obecnej stanowią jakieś dziwne połączenie pewnych objawów zniekształcenia, wynikłego z dłuższego przebywania w obcym środowisku i cech, korzeniami tkwiących w myślowym i duchowym klimacie 39 roku.

Rozważmy teraz pytanie drugie, dotyczące atrakcyjności. Przede wszystkim warto rozważyć, na czym polegałaby ona w stosunku do masy żołnierskiej. Cywilne społeczeństwo polskie na obczyźnie byłoby siłą atrakcyjną, gdyby mogło stanowić dla żołnierzy, spragnionych życia cywilnego, choćby namiastkę normalnego życia społecznego polskiego we wszystkich jego przejawach i funkcjach tak, aby mogli przez udział w nim zaspokoić swoją tęsknotę, wyżyć się w nim, począć się jego pełnowartościowymi członkami. Mogłoby ono również być siłą atrakcyjną, gdyby żołnierz w nim widział pomoc dla siebie w „urządzaniu się" w nowych warunkach, gdyby miał zapewnioną pomoc, wskazówki, rady, informacje, gdyby widział korzyść dla siebie. Obserwacja nastrojów żołnierskich wskazuje jednak, że żołnierz po stosunkowo zorientowaniu się w sytuacji na terenie W. Brytanii pragnieniami swymi wybiega poza morze, albo też stara się urządzić na własną rękę. Miejscowe cywilne społeczeństwo polskie nie jest dla niego siłą przyciągającą, mimo, że ze strony poszczególnych grup tego społeczeństwa istnieją próby wciągnięcia żołnierzy w swoją orbitę.

Wracam do problemu poruszonego na początku niniejszego artykułu. Jeśli tzw. cywilne społeczeństwo w W. Brytanii nie jest ani strukturalnie, ani duchowo, ani organizacyjnie zdolne do spełnienia wobec demobilizowanych żołnierzy roli normalnego społeczeństwa, a gromada żołnierska, jako wojsko, będzie jednak demobilizowana — to gdzie się mieścić będzie w najbliższym czasie Rzeczywistość Polska na obczyźnie? Ten nowy ośrodek społeczne, Rzeczywistości Polskiej musimy dopiero stworzyć.

Masa żołnierska, wychodząca z szeregów PSZ, nie może ani w całości ani nawet w części znaleźć się w zawieszeniu, w próżni, w indywidualnej rozsypce, gdyż wtedy nie spełni swego podstawowego zadania, którego realizacja stanowi sens naszej decyzji pozostania na obczyźnie. Stajemy wobec twardej konieczności zbudowania sami, możliwie na zdrowych, racjonalnie przemyślanych i wszechstronnych podstawach społeczeństwa polskiego w W. Brytanii. Ze społeczeństwa wojskowego, w całej swej masie, musimy się przekształcić w społeczeństwo cywilne, możliwie normalne w tych nienormalnych warunkach, w jakich się znajdujemy, w społeczeństwo, które obejmuje swymi funkcjami całość naszych potrzeb i w którym zmieszczą się wszyscy Polacy, przebywający w W. Brytanii, niezależnie od tego, czy są w niej jako cywile, czy jako wojskowi od kilku lat, czy też przybyli stosunkowo niedawno.

Powstaje jednak pytanie: czy żołnierze PSZ, demobilizowani obecnie, będą w stanie pracę tę wykonać. Jeśli jej nie wykonali ci — brzmiałby zarzut — którzy w wojsku nie byli i myśleli kategoriami cywilnymi, to jakżeż potrafią to zrobić ci, którzy cały czas siedzieli w wojsku i jego kategoriami myśleli? Wątpliwości byłyby istotnie słuszne, gdyby wojsko polskie na obczyźnie było tylko wojskiem i nie spełniało żadnych innych funkcyj. Tak jednak, jak wiemy, nie było.

Różnorakiego rodzaju funkcje społeczne, spełniane przez wojsko jako całość, dały nam wszystkim duże doświadczenia, a materiał ludzki dostarczyć może wielu, niezależnie od szarży, wybitnych pracowników gospodarczych, społecznych, kulturalnych itp. Wojsko jako całość i każdy z nas oddzielnie nie myślał tylko kategoriami wojskowymi, ale również i innymi, zwłaszcza w ostatnich kilkunastu miesiącach naszego istnienia.

Zbyt łatwym, powierzchownym i co najważniejsze nieprawdziwym byłby argument, że my, żołnierze PSZ, potrafiliśmy myśleć i działać tylko na rozkaz. Przecież olbrzymią większość z nas, to ludzie, którzy do wojska przyszli z życia cywilnego, w którym niektórzy odbyli niebylejaką praktykę. Trzeba również pamiętać o tym, że jeśli chodzi o najszersze masy, to przecież od przeszło półtora roku jesteśmy wojskiem ochotniczym, gdyż każdy, kto chciał, mógł od nas odejść. A decyzja pozostania była decyzją osobistą każdego z nas i najlepiej świadczy o wyrobieniu obywatelskim.

Masy żołnierskie, aczkolwiek ujęte do tej pory w karby dyscypliny wojskowej, przeszły głęboką ewolucję psychiczną i duchową i nie chcą i nie mogą zmieścić się w klimacie przedwojennym. W wielkiej naszej gromadzie, w której się stykały pokolenia, dzielnice, wszelakiego rodzaju zawody, różne poziomy kulturalne, ludzie z różnych ośrodków, walczących o Polskę — w tej gromadzie, głęboko i tragicznie przeżywającej każdy cios zadany Polsce, myśl obywatelska rozwijała się w kategoriach nie partyjnych, nie zaściankowych, nie prowincjonalnych, lecz ogólno-polskich, ogólno-narodowych. Jednym z najlepszych dowodów tego jest obecny pęd do wszechstronnego życia społeczno-cywilnego.

A poza tym, stwierdzenie, któreśmy wyżej uczynili, że tzw. cywilne społeczeństwo polskie w W. Brytanii nie jest w stanie wchłonąć bez reszty masy żołnierskiej, nie oznacza bynajmniej, że jego doświadczenia i dorobek organizacyjny, aczkolwiek niewystarczający, nie może być wykorzystany. Istota sprawy nie polega bowiem na stworzeniu dwu oddzielnych grup, lecz na ułożeniu racjonalnego stosunku i współpracy, opartej na rzeczywistym układzie sił i możliwości, a nie na ambicjach.

Wywody powyższe miały na celu wykazanie, że społeczeństwo cywilne nie może sobie rościć, jak to czynią już niektóre jego grupy, lub jednostki prawa do bezapelacyjnego objęcia kierownictwa nad zdemobilizowaną gromadą żołnierską. Protekcjonalne klepanie nas po ramieniu i mówienie: „Dość wojska, dość oszukiwania was. MY was teraz poprowadzimy tak, jak trzeba" — takie stawianie sprawy nam nie odpowiada, i to nie ze względu na nasze ambicje, ale dlatego, iż uważamy je za szkodliwe dla sprawy polskiej.

Nie możemy zamykać oczu na trudności, które mogą w tej dziedzinie powstać. Będą one wynikać zarówno z przyczyn zewnętrznych jak i wewnętrznych. Jest i będzie wiele sił niechętnych nam, chcących nas zepchnąć do roli mierzwy czy siły roboczej, pragnących nas rozbić wewnętrznie, rozproszkować, zdławić. Jest i będzie wiele oporów wewnętrznych, zwłaszcza ze strony ludzi niezdolnych do przełamania się psychicznego, do zerwania ze starymi nałogami myślowymi. Z jednej i drugiej strony. Ale wszystkie te trudności, w imię dobra ogólnego i jednostkowego, musimy przezwyciężyć.

Członkowie amerykańskiej komisji doradczej, do badań nad energią atomową

FIRMA A S M I D A R LTD. (Chemists)

ZAWIADAMIA

że z dniem 10. stycznia 1947 zamówienia na **paczki z lekarstwami** sporządzanymi i wysyłanymi do **POLSKI** przez naszą Firmę na zlecenie Firmy „Export & Relief Co." należy kierować bezpośrednio pod adresem naszej Firmy.

Osoby nie posiadające naszych cenników paczek specjalnych (cenniki No. 3 i 4, które były ogłaszane w prasie oraz przesyłane przez Firmę „Export & Relief Co.") mogą je otrzymać natychmiast na każde żądanie.

Paczki specjalne, standartowe, zawierające najbardziej potrzebne w Kraju **preparaty**, (jak: Penicylina, Insulina, Piperazyna, Wyciąg z wątroby, Calcium Gluconatum w zastrzykach, Preparaty Sulphamidowe oraz Preparaty Witaminowe), wysyłane są do Kraju natychmiast listami poleconymi, **a ponieważ są one w drodze przeciętnie 14 dni, są dzięki temu najszybszym sposobem udzielenia pomocy Rodzinom w Kraju.**

Przypominamy również P. T. Klientom, że paczki nasze złożone z jednego preparatu w większej ilości, umożliwiają:

a) przeprowadzenie choremu całkowitej kuracji,
b) przedstawiają dla każdego aptekarza w Polsce dużą wartość handlową.

Zamówione u nas paczki są wysyłane **natychmiast** z naszych składów. Paczki te pakujemy i wysyłamy we własnym zakresie, po cenach eksportowych.

Potwierdzając odbiór zamówienia, podajemy jednocześnie Klientowi dokładną datę wysłania paczki. W razie opóźnienia dostaw, z przyczyn od nas niezależnych, Klienci będą o tym informowani.

Jako jedyna Firma Farmaceutyczna na terenie Anglii, produkująca i wysyłająca paczki z wyrobami chemicznymi i farmaceutycznymi do Polski, posiadamy wszelkie ułatwienia w wysyłce naszych paczek.

Firma nasza jest również w ścisłym kontakcie ze znaną w Kraju Firmą: Zakłady Chemiczno-Farmaceutyczne „Asmidar" w Warszawie oraz ze Związkiem Fabryk Farmaceutycznych w Polsce i jest stale informowana o potrzebach w Kraju.

Ze względu na współpracę lekarzy i farmaceutów, przyjmujemy obecnie również zlecenia na paczki, zawierające wszelkie preparaty farmaceutyczne, nie objęte naszym cennikiem, oraz sporządzamy paczki indywidualne na podstawie podanych objawów choroby.

Firma nasza zorganizowała także wysyłkę nowych paczek standartowych, zawierających preparaty własnej produkcji w polskich opakowaniach oraz 7 — 9 różnych surowców, przedstawiających najwyższą wartość handlową w Kraju.

Cena paczki „A" łącznie z portem, opakowaniem i ubezpieczeniem: L 3. 14. 0.
Cena paczki „B" łącznie z portem, opakowaniem i ubezpieczeniem: L 5. 0. 0.

Na żądanie przysłemy zainteresowanym dokładny spis powyższych dwuch nowych i innych paczek standartowych.

Wszelkie zapytania oraz zamówienia wraz z należnością prosimy kierować bezpośrednio pod adresem Firmy:

A S M I D A R LTD. (Chemists)
16/18, Douglas Street, London, S. W. 1.
(równoległa do Vauxhall Bridge Road)

W REPUBLIKACH BAŁTYCKICH

Znany tygodnik londyński „The Economist" w numerze z dn. 28 grudnia 1946 r. ogłosił interesującą korespondencję pt. „W Republikach Bałtyckich", przedstawiającą katastrofalną sytuację w tych krajach. Korespondencję ogłaszamy poniżej w całości:

Niewiele narodów wycierpiało więcej w 1940 roku od trzech republik bałtyckich. W czerwcu 1940 roku czerwona armia dokonała najazdu na Estonię, Łotwę i Litwę. Na rozkaz moskiewskich komisarzy Zdanowa, Wyszyńskiego i Dekanozowa przywódcy polityczni w tych krajach zostali zamordowani, lub wywiezieni, republiki zostały wcielone — po sfałszowanych wyborach — do Związku Sowieckiego, a ich rolnictwo, przemysł, handel i wychowanie zostały poddane kontroli komunistycznej.

Latem 1941 roku armia niemiecka dokonała najazdu na republiki bałtyckie. Następne lata niemieckiej okupacji były znośne tylko w porównaniu z poprzednim rokiem okupacji rosyjskiej. Rządy w tych republikach objął niemiecki gubernator wojskowy, życie kulturalne i gospodarcze poddane zostało kontroli narodowych-socjalistów, wywożenia trwały nadal — z początku były powolniejsze niż pod władzą rosyjską, ale w roku 1944 szybsze, gdy setki tysięcy robotników z krajów bałtyckich wysłanych zostało na przymusowe roboty do Rzeszy.

Na jesieni 1944 roku czerwona armia znowu dokonała najazdu na republiki bałtyckie. Kraje te przez kilka miesięcy stały się polem bitwy, przy czym zniszczenia były szczególnie ciężkie na południu, gdzie setki wsi litewskich zostały zniszczone przez ustępujących Niemców. Rozpoczęła się masowa emigracja ludności krajów bałtyckich przed zbliżającymi się Rosjanami. Około 30 tysięcy zdołało schronić się za morzem do Szwecji. Dalsze trzysta tysięcy udało się do Niemiec w nadziei znalezienia bezpieczeństwa w strefie brytyjskiej lub amerykańskiej.

Trudno dowiedzieć się, co się stało w ciągu ostatnich dwuch lat. Estonia, Łotwa i Litwa zostały oddzielone od zewnętrznego świata szczelną kurtyną w sposób dużo skuteczniejszy, aniżeli jakakolwiek inna część Europy. Nie ma tam korespondentów zagranicznych, nie wpuszcza się tam żadnych przedstawicieli zagranicznych, nie było tam misji UNRRA. Niewielu mieszkańcom krajów bałtyckich udało się uciec spod tej drugiej okupacji rosyjskiej. Na niewiele listów wysłanych z Zachodu nadeszła kiedykolwiek odpowiedź. W praktyce jedynym źródłem informacji jest prasa i radio sowieckie. Dają one jasny, ale bynajmniej nie zupełny obraz sytuacji.

Praca nad skomunizowaniem republik bałtyckich poszło szybko. Ale nie była wcale łatwą. Nastawienie polityczne Estończyków, Łotyszów i Litwinów jest demokratyczne w zachodnim znaczeniu tego słowa. Życie gospodarcze oparte jest o własność chłopską. Są to narody złożone z małych posiadaczy gospodarstw rolnych powiązanych ze sobą gospodarczo siecią zrzeszeń kooperatywnych wedle wzoru skandynawskiego. Poziom oświaty i życia był bardzo wysoki. Jedynym sposobem skomunizowania ich jest w krótkiej drodze siła, a w nieco dłuższej drodze usilna propaganda doktryny komunistycznej.

Rosjanie nie szczędzili siły. Większość rekruta z krajów bałtyckich została wcielona do czerwonej armii i dotychczas jeszcze nie zdemobilizowana. Wiele tysięcy osób otrzymało zielone paszporty jako „osoby niegodne zaufania" a potem zostało wywiezionych w głąb Związku Sowieckiego, jak się zdaje, przeważnie na Sybir i do okręgów podbiegunowych. Tysiące posiadaczy paszportów lepszego typu wysłano na „dobrowolne" roboty na Wschodzie. Nie da się określić ich liczby, ale radio sowieckie oświadczyło, że w pierwszych miesiącach 1941 roku samych Litwinów wyjechało tą drogą 83 tysiące.

Podczas wyborów powszechnych w lutym 1946 r. wystawiono tylko kandydatury osób, które były mianowane przez instytucje kontrolowane przez komunistów, a czynne prawo wyborcze rozciągnięte zostało i na rosyjskich żołnierzy, urzędników i agentów NKWD, którzy przebywali wówczas przypadkiem w tych okręgach wyborczych. Prawie cały przemysł i ziemia zostały „znacjonalizowane". Tylko nieznaczna liczba przemysłowców i rolników zachowała tytuły własności, ale oni także zostali szybko zlikwidowani przez nadmierne opodatkowanie. Na stanowiska w administracji powoływani są tylko komuniści.

Nawracanie na wiarę komunistyczną przeprowadzone zostało szybko, ale nie kompletnie. Odczuwa się brak nauczycieli, a sowieckie radio i dzienniki ustannie skarżą się na braki nauki w duchu marksistowskim w szkołach. Na uniwersytetach poczyniono większe postępy. Wykłady doktryny komunistycznej są obowiązujące dla wszystkich studentów. Na każdym uniwersytecie utworzono katedrę marksizmu-leninizmu. Trudności materialne przeszkadzają większemu rozprzestrzenianiu propagandy komunistycznej. Brak jest radioodbiorników a dzienniki nie mogą być kolportowane poza obszarem miast, w których wychodzą z powodu tego, że nie odbudowano jeszcze środków transportowych. Żywi się nadzieję, że jednak niezadługo da się odczuć całą wagę propagandy radiowej i prasowej. Tymczasem oczywiście nie wolno prowadzić żadnej propagandy ani akcji oświatowej nie-komunistycznej. W protestanckiej Estonii i Łotwie oraz katolickiej Litwie pastorzy i księża zostali usunięci ze szkół. Seminaria i szkoły niedzielne są zamknięte. Kościoły są otwarte, ale raczej dla udzielania sakramentów, aniżeli do wygłaszania kazań.

WZMOŻONA RUSYFIKACJA

Wszystko to w niczym się nie różni od polityki rosyjskiej w czasie pierwszego okresu okupacji w r. 1940-41. Natomiast drugą okupację różni od pierwszej polityka rusyfikacyjna. Język rosyjski używany jest obecnie we wszystkich stosunkach oficjalnych, jakkolwiek bardzo mała tylko część Estończyków, Łotyszów i Litwinów umie czytać i pisać po rosyjsku. Kandydaci na urzędy muszą teraz nadrabiać ten brak, podając się egzaminowi z tego języka. Obecnie odbywa się nowy napływ rosyjskich osadników do republik bałtyckich. Ponad 20 tys. zostało już osadzonych w Kownie, a ponad 48 tys. w Wilnie. Tallin, miasto, w którym w 1939 roku było 140 tys. mieszkańców, według oświadczeń moskiewskich ma pomieścić 500 tys. ludności. Wzrost ten można osiągnąć tylko przez napływ ludności z Związku Sowieckiego. Jeśli obecna stawka wywożonych mieszkańców krajów bałtyckich i przywożonych Rosjan utrzymana zostanie jeszcze przez kilka lat, to narodowy charakter Estonii, Łotwy i Litwy zupełnie zniknie. To jest też prawdopodobnie zamiarem Moskwy.

Trudniej natomiast zrozumieć politykę gospodarczą rządu sowieckiego. Moskwa pozbawia republiki bałtyckie ich urządzeń przemysłowych i zasobów rolnych. Konie i co lepsze stada bydła zostały zabrane z gospodarstw w krajach bałtyckich i przewiezione wgłąb Rosji. Fabryki zniszczone podczas wojny w większości wypadków nie zostały odbudowane, jakkolwiek niewielka ilość wlókienniczych i skórniczych zakładów przemysłowych została odbudowana i istnieją plany rozszerzenia przemysłu olejów ziemnych w północnej Estonii.

Poziom życia we wszystkich trzech republikach jest niezmiernie niski. Z towarów racjonowanych jedynie chleb żytni jest regularnie dostarczany. Przeciętne zarobki wynoszą około 300 rubli na miesiąc, co odpowiada mniej więcej 2 kg. masła. Odczuwa się tak silny brak mieszkań, że niewiele prywatnych osób ma własne pokoje — a w Tallinie maksymalnie dopuszczalna przestrzeń mieszkalna wynosi 6 m. kw. na osobę. W sklepach brak ubrań i obuwia. Ludzie żyją z handlu wymiennego: moja stara para butów za twoje wiejskie masło. Nawet w Estonii, najlepiej zaopatrzonym z państw bałtyckich, gdzie przed wojną był niemal taki sam poziom życia jak w Finlandii, wciąż panuje obawa głodu.

Przy wszystkich tych obawach, nie ma nadziei. Nie ma żadnych dowodów na to, aby wykazać, że istnieje choćby garstka mieszkańców krajów bałtyckich, która by wyobrażała sobie, iż życie może się dla nich poprawić, gdy kraj ich stanowi część Związku Sowieckiego. Z pośród uchodźców przebywających obecnie w Szwecji i w zachodnich strefach Niemiec i Austrii — z których większość, to są rolnicy i rybacy ze swoimi rodzinami — ani jeden na stu nie myśli się powrócić do swego kraju, dopóki znajduje się on pod panowaniem Rosji. Mocarstwa zachodnie wezwały ich do powrotu, ale nie będą ich do tego zmuszały. Wielka Brytania i Stany Zjednoczone nigdy nie uznały wcielenia Estonii, Łotwy i Litwy do Rosji Sowieckiej.

Spojrzenie „od Północy"

Ogłoszone niedawno dwa artykuły Winstona Churchilla na temat Stanów Zjednoczonych Europy były nowym wydarzeniem w dyskusji, która trwa od czasu znanej mowy zuryskiej.

Ostatnio znany tygodnik londyński „The Tablet" w obszernym komentarzu zwrócił uwagę, na rolę jaką w ugruntowaniu idei europejskiej powinny odegrać polityczne ugrupowania katolickie powołane do tej roli z racji uniwersalnych założeń ich ideologii. Stronnictwa te — zdaniem tygodnika — przejawiały dotychczas w wielu krajach, skłonność do postawy niedaleckiej od nacjonalizmu — co tłumaczy fakt, że zmuszone były do walki z wrogami swych narodów, którzy jednocześnie byli wrogami Kościoła. Mimo to jednak dziś powinny rozszerzyć krąg swych zainteresowań w myśl uniwersalnej ideologii, z której się wywodzą. Zwłaszcza, że — z czego p. Churchill jasno zdaje sobie sprawę — inicjatywy należy oczekiwać nie tyle od rządów, ile od ugrupowań społecznych. Co więcej, tygodnik katolicki nie uważa bynajmniej za wskazane, aby ugrupowania katolickie dążyły do wyłączności w swej akcji europejskiej. Sądzi jednak, że chrześcijaństwo jest szerszą podstawą dla zbudowania jedności europejskiej niż ta, którą dać może wspólnota zachodnio-europejska — obejmuje bowiem również kraje, które, tak jak Polska, Skandynawia i kraje bałtyckie nie wchodziły w skład średniowiecznego Imperium Rzymskiego. „The Tablet" uważa, że tradycje protestanckie i liberalne znakomicie wzbogaciły dziedzictwo Zachodu, którego stanowią część integralną. Dziedzictwo to, ponadto, „powinno być również drogie tym socjalistom, którzy nie ograniczają swego socjalizmu ramami wyłącznej wiary marksistowskiej". Jest więc szeroka podstawa do współpracy, w której katolicy winni odegrać rolę straży przedniej.

Szczególnie interesujące jest spojrzenie na zagadnienie europejskie „od strony północy", a więc krajów skandynawskich i Polski tak, jak to uczynił ostatnio miesięcznik „Free Europe"*) w artykule p. Fredy Bruce Lockhart. Podsumowując obserwacje ze swej podróży w lecie z ub. r. po Norwegii, Szwecji, Polsce, Danii, autorka pisze m. in.:

„We wszystkich tych czterech krajach słyszałam liczne wypowiedzi, w których wyrażała się jakaś tęsknota za czymś w kształcie Stanów Zjednoczonych Europy, choć raczej jako odległej utopii, aniżeli bezpośredniego celu. W Skandynawii i w Polsce ludzie mówili tak, jak gdyby ich kraje, czy to małych czy średnich rozmiarów, nie mogły mieć żadnej nadziei na godną, niezależną i bezpieczną przyszłość, poza jakimś tego rodzaju rozwiązaniem."

Autorka sądzi, że regionalne ugrupowanie zachodnio-europejskie może być jedynie, a w obecnych warunkach musi być, namiastką Stanów Zjednoczonych Europy i niekoniecznie krokiem naprzód w tym kierunku. Poza tym, nikt spośród ludzi, którzy — jak p. Churchill i marszałek Smuts — propagują ideę europejską, nie odpowiedział wyraźnie na pytanie: czy Sowiety powinny wejść w skład Stanów Zjednoczonych Europy czy też nie?

„Ludzie Europy Północnej — zdają sobie dobrze sprawę z różnicy pomiędzy tymi dwiema koncepcjami i wobec tego patrzą na nie w sposób zupełnie różny. Zarówno w Skandynawii jak i w Polsce, idea Stanów Zjednoczonych Europy wzbudza uznanie, nawet tęsknotę jako jedyną nadzieja zbawienia; (natomiast) idea specyficznie zachodnio-europejskiego regionalnego ugrupowania wzbudza przerażenie, jako wyjście rozpaczliwe, jako ostatnia nadzieja ocalenia czegośkolwiek ze szczątków kontynentu, ale nadzieja pełna ryzyka dla ich (północnych) narodów."

Aby Europę można było zbudować „organicznie", trzeba by potworzyć szereg ugrupowań regionalnych, czemu Sowiety są, jak wiadomo, od pewnego czasu przeciwne. Wobec tych trudności, Polska i kraje skandynawskie, są raczej za zbudowaniem organizacji Europy na szerszej i bardziej jednolitej podstawie.

„Dla Skandynawów zastąpiłaby ona (wspólnota europejska) bezpieczeństwo, do którego przywiązywały one tak wielką wagę i które uważają one teraz za zupełnie zbankrutowane — w związku ze słabą wiarą okazywaną Organizacji Narodów Zjednoczonych, jako namiastce. Polsce dałaby wspólnota europejską szansę przetrwania jako „państwo średnie" w oparciu o własne prawo, a nie jako przystawka do jednego z jej ludożerczych sąsiadów."

Gdy myślimy o ugrupowaniu zachodnim — pisze dalej p. Lockhart — to instynktownie włączamy doń narody skandynawskie. Ale one same tego nie czują. Uzasadniające te obserwacje i uwagi, warto — sądzimy — przytoczyć je w całości:

„Szwedzkie pismo liberalne „Dagens Nyheter", ogłosiło ostatnio artykuł naczelny, w którym poddaje analizie całość „bloku zachodniego" i pracowicie wyjaśnia dlaczego, mimo, że Szwecja instynktownie może odczuwać do Zachodu skłonność, wynikającą z naturalnej sympatii, to przecież tego rodzaju krok byłby sprzeczny z jej interesami i jej neutralną misją w Europie. Być może, nie zdajemy sobie na ogół sprawy z głębokości rozczarowania, jakiego doznano, jakie utrzymuje się w Skandynawii w stosunku do polityki siły w ogólności a szczególnie w odniesieniu do upadku bezpieczeństwa zbiorowego w oparciu o Ligę Narodów, przy czym niepowodzenie przypisuje się niezmiennie błędom popełnionym przez wielkie mocarstwa.

„Szwedzi i Norwegowie wskazują na straty, jakie poniosła Szwecja na skutek udziału w sankcjach przeciw Włochom. Norwegowie mówią o nieinterwencji w Hiszpanii, o Abisynii i Monachium. (Polacy, jakkolwiek bardziej zajęci aktualnymi sprawami, przypominają o odrzuceniu wysuniętej przez Piłsudskiego propozycji (wszczęcia) akcji przeciwko Hitlerowi, gdy wszedł on do Nadrenii). Te wspomnienia, których odkrycie jest wstrząsające dla Brytyjczyków, są trwalsze od świadomości tego, co uczyniliśmy w końcu dla ocalenia Europy. Dziś kraje skandynawskie nie są gotowe do uczynienia nowego aktu wiary, bez bardzo uroczystych zapewnień.

„Zapewnienia o widokach bezpieczeństwa na kontynencie podzielonym na Wschód i na Zachód nie mogą wyglądać zbyt świetnie w oczach żadnego z tych narodów, które znalazły się bezpośrednio na linii podziału. Chociaż powody nugielskich i skandynawskich nadziei na Stany Zjednoczone Europy są podobne, jeśli nie identyczne, to przecież istnieje ważna różnica w motywach nieufności, rodzącej się wobec podziału Europy na Wschód i Zachód.

„Skandynawowie — ściśle Norwegowie i Szwedzi, bo Duńczycy czują się silniej związani z kontynentem, aniżeli ich bracia z półwyspu — są zdania, że przyłączenie się do bloku zachodniego byłoby zakładaniem sobie stryczka na szyję. Znów wspominając Monachium, myślą, że deklarując się po zachodniej stronie, nie zyskaliby niczego, a ryzykowaliby wszystko. Istotnie po którejkolwiek stron

SAMOTNA DROGA

napisał M. K. DZIEWANOWSKI

Sześć kolejnych pokoleń polskich odczuwało ucisk zaborcy. Każde z nich zrywało się do walki o niezawisłość państwa i jeśli nawet ulegało przewadze siły, oddechem wolności podtrzymywało życie narodu. Powstania polskie to nie tylko dzieje ofiar i krwi, to przede wszystkim świadectwo żywego serca narodu, które nie przestało — i nie przestanie — bić.

Powstanie styczniowe jest pierwszym w dziejach Polski masowym ruchem zbrojnym. Tylko dzięki oparciu o masy — głównie po miastach — działalność tajnego Rządu Narodowego mogła przybrać w okresie przygotowawczym taki podziwu godny zasięg. Bo też powstanie styczniowe jest nie tylko epizodem walki o wolność narodu, ale także etapem w dochodzeniu do świadomości obywatelskiej tych warstw, które dotychczas prawie nie brały udziału w życiu społeczeństwa. Oto wyjątek z odezwy Rządu Narodowego: „W pierwszym zaraz dniu wystąpienia Komitet Centralny Narodowy ogłasza wszystkich synów Polski bez różnicy wiary i rodu, pochodzenia i stanu, wolnymi i równymi obywatelami kraju". Godny pamięci fakt, że w akcji powstańczej wzięły spory udział kobiety, tworząc t.zw. Radę Opiekuńczą. Duszą tej pracy była poetka Narcyza Żmichowska.

Ale w pamięci potomnych zrosło się powstanie przede wszystkim z imieniem Romualda Traugutta. Kierownik akcji na Polesiu, objąwszy jesienią 1862 r. władzę nad siłami powstańczymi w całym kraju, po upływie pół roku zginął śmiercią skazańca na stokach Cytadeli.

„Waszego ani niczyjego poparcia nie żądam i nie potrzebuję" — mówił w tym samym czasie margrabia Wielopolski, który realizował program polityczny w oparciu o Rosję — wbrew całemu społeczeństwu. Życie zaprzeczyło tym słowom. Wysiłki Margrabiego spełzły na niczym, bo nie chciał i nie umiał znaleźć drogi do serca narodu.

Mroźnym rankiem 1 stycznia roku 1862 rozległe sale petersburskiego Pałacu Zimowego zaroiły się przedstawicielami korpusu dyplomatycznego, wyszamerowaną generalicją, wyższymi dygnitarzami oraz długobrodymi członkami świętego Synodu. Na tle tego tłumu wystrojonych czynowników odcinała się masywna, przygarbiona postać starszego, szpakowatego pana o siwawych bokobrodach i zachmurzonym czole. W przeciwieństwie do innych był tylko we fraku, bez orderów. Nie miał na sobie nawet nadanej mu świeżo przez cara wielkiej, błękitnej wstęgi orderu „Orła Białego".

Przybył nad Newę, by wytłumaczyć Aleksandrowi II, co ostrzegał jego rodaków: „Messieurs! Point de reveries... Point de reveries..." — że na to, by odwieść mieszkańców Przywiślańskiego Kraju od rewolucyjnych mrzonek, trzeba im przede wszystkim przywrócić normalne warunki życia. Trzeba przestać im grozić, a dać raczej słowa zachęty, dotrzymywać raz danych obietnic. Mogą one być skromne, ograniczone, lecz raz wypowiedziane muszą być wprowadzone w czyn. Kraj, pozbawiony nadziei poprawy swego bytu w normalnym, legalnym życiu, musi się wyżywać w podziemiu, w spisku i konspiracji. Nadany w r. 1832 Statut Organiczny, który miał zastąpić zniesioną Konstytucję, nie jest przestrzegany. Samowola żołdacka panoszy się na każdym kroku. Nadmiar wojska i przebudowana, nasłana z głębi Rosji szarańcza przekupnego czynownictwa rujnuje życie gospodarcze kraju. Swego czasu, za pierwszą wizytą w Warszawie po powstaniu listopadowym, ojciec jego, car Mikołaj I, oświadczył przedstawicielom społeczeństwa: „Kazałem zbudować nad Wisłą Cytadelę i oświadczam wam, że przy pierwszym, najmniejszym zaburzeniu rozkażę zburzyć Warszawę. A z pewnością ja jej nie odbudużę..." Margrabia Wielopolski, jako właściwy kierownik administracji cywilnej Królestwa, przybył właśnie do Petersburga, by wytłumaczyć jego synowi, iż zamiast przestrzegać przed zaburzeniami, lepiej jest usunąć ich przyczyny: bezprawny ucisk i inkwizycję administracyjną stosowaną wobec społeczeństwa Królestwa przez miejscowe władze rosyjskie; wprowadzić w czyn Statut Organiczny, prowadzić dalej przygotowany plan reformy, dać ludziom poczucie bezpieczeństwa, możliwości pracy i wizję lepszej przyszłości, w postaci obietnicy autonomii ziem polskich. Może ją mieć Wielkie Księstwo Fińskie, należy się ona tym bardziej Królestwu.

Margrabia był twardym negocjatorem, prawnikiem, legalistą. Statut Organiczny jest ciągle w mocy, więc musi być przestrzegany. Odwołać Statut...? Co powie na to Zachód? Przecież Rosja stara się o zbliżenie dyplomatyczne z Paryżem, chce francuskich pieniędzy i poparcia dla swych planów bałkańskich i lewantyńskich. W Londynie zależy jej na dobrej opinii państwa praworządnego. Nie. Represje prowadzą prostą drogą do rewolty, która właśnie dlatego, że nie wybuchła w czasie wojny Krymskiej, powoli nabrzmiewa podskórnie pod powłoką apatycznej martwoty zbiedzonego kraju. Trzeba konsekwentnej zmiany postawy wobec sprawy polskiej, bo bez tego nie ma nie tylko spokoju w Królestwie, ale i urzeczywistnienia istotnie szerokiej polityki słowiańskiej. Car został przekonany; w otoczeniu jego zapanowało zaniepokojenie.

* * *

Sala tronowa Pałacu Zimowego była już pełna. Zbliżała się godzina dwunasta. Lużna dotychczas ciżba szeptem rozmawiających ze sobą dygnitarzy zaczęła krzepnąć w przewidziane etykietą kształty. Rozpoczęło się ustawianie, szeregowanie. Ochmistrz dworu, zauważywszy margrabiego w jego odbijającym od otoczenia stroju, nie wiedząc co z nim zrobić, gdzie go postawić, zwrócił się do samego cara z zapytaniem, gdzie by znaleźć mógł odpowiednie dlań miejsce:

„Margrabia sam znajdzie dla siebie miejsce" — odparł car z ironicznym uśmiechem. Wielopolski rozglądał się przez chwilę po sali i stanął wreszcie w grupie korpusu dyplomatycznego. Na pytanie Ochmistrza dworu, zadane po rosyjsku, dlaczego wybrał to miejsce, odparł po francusku: „Bo, reprezentuję tu króla polskiego u cesarza Rosji". I pozostał tam do końca.

Autorytet, z jakim na przedwiośniu roku 1862 wracał Wielopolski z Petersburga do Warszawy, był ogromny. W czasie paru miesięcy pobytu nad Newą odniósł on wielki sukces polityczny: pozyskał dla swego planu, jak mu się wydawało na dobre, samego cara i jego najbliższe otoczenie; przywoził nominację brata cesarskiego na namiestnika królestwa. Cóż mogło teraz stać na przeszkodzie urzeczywistnienia jego historycznego dzieła, co — jeżeli przetrwa dwa lub trzy pokolenia — może cofnąć historię obu narodów o lat trzysta, przed okres Zygmunta III i Żółkiewskiego. Dumny margrabia zapomniał jednak w swych kalkulacjach o dwóch ważnych momentach: o społeczeństwie polskim i o istotnych, dalekosiężnych ambicjach Imperium Carów. Przeoczył on okoliczność, iż w Polsce bardziej niż gdziekolwiek każdy plan polityczny — na to by mógł się powieść — musi mieć poparcie przygotowanego na jego przyjęcie społeczeństwa, bez czynnego współdziałania którego nie ma mowy o żadnych wielkich poczynaniach. Zapomniał też, że dla Petersburga obiętnice reform to tylko środek do celu, jakim jest chwilowa choćby pacyfikacja Królestwa, a polityka panslawistyczna, to zawsze dążenie do „zlania wszystkich słowiańskich strumieni w jednym słowiańskim morzu". To zaważyło ostatecznie na dalszych losach jego przedsięwzięcia.

* * *

Aleksander Wielopolski, margrabia Gonzaga Myszkowski, urodził się w r. 1803, a więc w czasie, gdy późniejszy jego szef z okresu powstania listopadowego, książe Adam Czartoryski, miał już lat 33 i był rosyjskim wice-ministrem spraw zagranicznych. „Rewolucja narodowa" roku 1830 dała mu pierwszą okazję do służby publicznej: został wysłany, jako agent dyplomatyczny powstania, do Londynu, dla wyjednania u Palmerstona i Greya pomocy dla Polski.

Po powrocie z nieudałej misji londyńskiej, która zapoczątkowała u młodego margrafa uraz do Zachodu, wybrany zostaje posłem na Sejm z ziemi grodzieńskiej. Po katastrofie nie jedzie do Paryża, lecz chroni się do Krakowa. Tam spędza dwa lata na rozmyślaniach i dyskusjach z przedstawicielami konserwatywnych odłamów społeczeństwa wolnej jeszcze wówczas Rzeczypospolitej. W roku 1833, pod osłoną amnestii, wraca do swych dóbr w miechowskim, pod rządy Paskiewicza — Erywańsko — Warszawskiego. Wówczas już pod wpływem rozczytywania się w pismach Staszica skłania się zwolna ku idei panslawistycznej. Zachód nas opuścił i nigdy się o nasze prawa nie upomni — mówił on sobie. Musimy sobie radzić sami. Nastawienie to pogłębiają wypadki w roku 1846. Rzeź galicyjska jest dlań potężnym wstrząsem, rozstrzygającym o jego nastawieniu politycznym do końca życia. Polska — jego zdaniem — nie może walczyć jednocześnie z wszystkimi trzema zaborcami ;walka taka uniemożliwia jakąkolwiek organiczną, pozytywną pracę codzienną, absorbując zbyt wiele sił narodowych na opór przeciwko wszystkim trzem zaborcom. Trzeba porozumieć się z jednym z nich, szukać u niego oparcia przeciwko pozostałym. Oparcie takie dać może jedynie słowiańska Rosja. Ma ona przecież dążenie do zjednoczenia wszystkich ziem polskich pod berłem swoich władców, a przemyśliwując już wówczas o rozciągnięciu swego zwierzchnictwa nad innymi ziemiami słowiańszczyzny zachodniej i południowej, musi dążyć do uregulowania swych stosunków z Polakami.

ARTUR GROTTGER — W rok głodu

Stąd zrodził się „List szlachcica polskiego do księcia Metternicha", w którym Wielopolski przed całym światem piętnuje postępowanie Austrii, odpowiedzialnej za przygotowanie rzezi galicyjskiej. Obok płomiennego oskarżenia przewrotności, jaką była zorganizowana przez administrację austriacką masakra, mieszczą się tam również i ustępy przygotowujące drogę do przyszłej akcji politycznej, której celem ma być ostateczne pogodzenie społeczeństwa polskiego z Rosją. Stawiając szlachtę polską przed tronem Mikołaja I, Wielopolski wkłada w jej usta takie słowa: „Przychodzimy oddać się tobie jako najwspaniałomyślniejszemu z przeciwników. Byliśmy twoimi jako niewolnicy, prawem zaboru, postrachem, za nie ważące sobie wymuszone przysięgi. Dziś nabywasz nowy tytuł władania. Oddajemy się tobie jako ludzie wolni z dobrej ochoty... Stajesz się panem naszym z łaski Boga".

List ten ze względu tak na swą treść, jak autora i adresata, stanowił swojego rodzaju sensację w stolicach ówczesnej Europy: był namiętnie komentowany również i przez polityczne koła polskie wszystkich trzech zaborów. Miał on jednak dwa ostrza. Z jednej strony zwrócił oczy Petersburga na osobę Wielopolskiego jako na tego, który skłonny jest podjąć się ewentualnie próby ułożenia współpracy między Petersburgiem a Królestwem, które było głównym źródłem kłopotów tak dla polityki wewnętrznej jak i zagranicznej imperium; z drugiej jednak takie zdecydowane wyznanie bezwarunkowej uległości obciążyło poważnie Margrabiego w oczach rozdrażnionego społeczeństwa polskiego, nękanego represjami i szykanami. Bezwarunkowa forma poddania się Rosji, hołdowniczy ton listu nie mógł nie zrazić ambitnego a przeczulonego narodu; mógłby on pójść na stopniową zmianę swej postawy, ale pod warunkiem daleko idącej zmiany polityki rosyjskiej na ziemiach Królestwa. A na to się wcale nie zanosiło. W Warszawie kończono właśnie cytadelę, przeprowadzano masowe zsyłki oraz porywanie młodzieży, wywożonej w głąb Rosji i wcielanej do wojska; brutalne odruchy administracji rosyjskiej oraz jawne nieprzestrzeganie Statutu Organicznego, gwarantującego podstawowe swobody obywatelskie, wszystko to nie stwarzało bynajmniej dogodnych warunków dla akcji pojednawczej. U źródła więc późniejszych niepowodzeń Wielopolskiego leży między innymi pierworodny grzech „Listu". Mąż stanu, przygotowujący się do podjęcia wielkiej próby pogodzenia dwóch narodów, nie zdołał zrozumieć stanu umysłów swego własnego społeczeństwa, które chciał reprezentować, ale z którym był w konflikcie. Precyzyjny analityk, człowiek obdarzony potężną wolą i niezłomną konsekwencją, od początku wystartował w złym kierunku i pod złym znakiem. Te początkowe pomyłki mścić się będą na nim aż do końca.

* * *

Rozumowanie Wielopolskiego było następujące. Imperium rosyjskie, po smutnych doświadczeniach wojny krymskiej przeszło przez poważny kryzys. Wstąpienie na tron Aleksandra II, który snuł rozległe plany reform wewnętrznych oraz reorientacji polityki zagranicznej, tak by pozyskać dla Rosji sympatię wszystkich Słowian, stwarza nowe możliwości dla Polski. Jeżeli bowiem chce się pozyskać Czechów, Chorwatów, Serbów czy Bułgarów do współpracy z Petersburgiem, nie można jednocześnie gnębić Polaków. Poza tym, kalkulował dalej margrabia, ucisk w Królestwie Polskim utrudnia dyplomacji carskiej zbliżenie do Francji, konieczne do przeprowadzenia planów bałkańskich. Rosja nie może bowiem pozwolić sobie po raz drugi, tak jak to było w wojnie krymskiej, na walkę z koalicją anglo-francuską, a musi szukać współpracy z jednym z tych mocarstw. Francja jest o tyle dogodniejsza, że nie ma z nią zatargów na terenie azjatyckim, a tarcia na terenie Lewantu są mniej istotne. Stąd ułagodzenie Polaków stwarza lepszą koniunkturę tak na współpracę francusko-rosyjską jak i propagandę słowiańską na Bałkanach, a zarazem odciąża administrację i garnizony rosyjskie zaabsorbowane na terenie ziem Królestwa. Dlatego też — sądził Wielopolski — za cenę spokoju na obszarach polskich Rosja zgodzi się na pewne ograniczone ustępstwa w dziedzinie administracyjnej, oświatowej i gospodarczej, a może w przyszłości i na autonomię. Dalszą drogę wskażą wypadki.

Z takim też planem wystąpił on w zimie roku 1861 pod adresem Petersburga. Plan ten został po długich wahaniach przyjęty. W marcu tegoż roku Aleksander II wydał ukaz o reformach w Królestwie Polskim, mianujący Wielopolskiego dyrektorem wyznań religijnych i oświecenia publicznego. Na tym stanowisku, w ciągu niemal dwóch lat, Wielopolski zdołał spolszczyć administrację Królestwa, przeprowadzić reformę szkolnictwa, zapoczątkować reformę samorządową oraz wprowadzić cały szereg reform gospodarczych o doniosłym znaczeniu. Była to w życiu Królestwa mała rewolucja przeprowadzona środkami pokojowymi.

Ale zamiast prowadzić dalej swe dzieło w porozumieniu ze społeczeństwem, w oparciu o jego przedstawicieli i jego organizacje, margrabia, z natury człowiek autorytatywny, a porywczy i mściwy, nie zdołał, ba nawet nie usiłował na serio wytłumaczyć istotny sens swej polityki, by pociągnąć naród w kierunku ograniczonej współpracy, która nie przesądzając o zrezygnowaniu z dalekosiężnych, ostatecznych dążeń narodu, mogła oddawać mu poważne usługi. Pyszny margrabia odpychał społeczeństwo od siebie niechętnymi gestami, a jego wystąpienia publiczne prowokowały raczej do oporu niż zachęcały do współpracy. Jak wyraził się jeden ze współczesnych: „Społeczeństwo chore na politykę Wielopolski leczył na administrację". Nie zdoławszy znaleźć wspólnego języka ze swymi rodakami, których psychiki w istocie niezdolny był pojąć, Wielopolski, przekonany o słuszności swej taktyki, począł się denerwować. Stąd wyniosłe odruchy i słowa wprowadzające jeszcze większe zadrażnienie. „Dla Polaków można czasem coś zrobić, z Polakami nigdy" — powiedział on delegacji „Białych", proponujących mu współpracę. Będąc sam wielkim panem, konserwatystą, najłatwiej mógłby się dogadać z zachowawczymi elementami ziemiańskimi, zgrupowanymi w Towarzystwie Rolniczym, kierowanym przez Andrzeja Zamoyskiego. Margrabia oskarżał go o niechęć i szkodzenie jego imieniu. Było to oskarżenie niesłuszne.

Pomimo wzajemnych dąsów, Zamoyski nie był doń wrogo usposobiony. Na zapytanie namiestnika, księcia Gorczakowa, zadane jeszcze w r. 1860, kto by mógł stanąć na czele administracji Królestwa, ordynat odparł bez wahania: „Wezcie Wielopolskiego. Nie możecie znaleźć lepszej od niego siły". Pomimo to margrabia nie mógł zapomnieć Prezesowi Towarzystwa Rolniczego, iż za jego przyczyną w lutym r. 1861 Towarzystwo odrzuciło zredagowany przez margrabiego projekt adresu do tronu. Zamiast przekonać i przyciągnąć do siebie ten potężny zbiornik umiarkowanych sił społecznych, zawistny samotnik z pałacu Brühla spowodował rozwiązanie Towarzystwa, a w końcu i banicję samego Zamoyskiego. Rezultaty tego kroku były całkowicie negatywne. Rozwiązanie Towarzystwa spowodowało, iż oparta o jego sieć organizacja Białych została głębiej wepchnięta w podziemia konspiracji, a odsunięta tym dalej od Wielopolskiego. Rozeszły się w ten sposób drogi człowieka, co chciał pokojowego przewrotu od góry, wbrew społeczeństwu, z drogami przewódcy tegoż społeczeństwa, który choć nie był zdolny do prowadzenia samoistnej polityki na szerszą skalę, ale mógł dać oparcie każdej patriotycznej inicjatywie, o której słuszności zostałby we właściwy sposób przekonany. Zrujnowanie Towarzystwa Rolniczego — dzieła całego niemal życia Zamoyskiego — ostatecznie przypieczętowało rozbrat pomiędzy obu antagonistami, którzy mogli byli podać sobie ręce, by w oparciu o wielki odłam społeczeństwa organizować tak potrzebną politykę przetrwania, oszczędzania biologicznych sił narodu!

Będąc z zasady i temperamentu przeciwnikiem powstań i rewolucji, Wielopolski współdziałał z tłumieniem odruchów niezadowolenia, jakie pojawiały się raz po raz, a znajdowały swój wyraz patriotyczno-religijny w demonstracjach i pochodach na ulicach Warszawy. Z całą bezwzględnością tłumił on wrzenie rewolucyjne Królestwa, nie wahając się używać do tego celu wojska i policji moskiewskiej. Wielopolski nie zdawał sobie sprawy, iż w ten sposób usuwa dowody, osłabia siły, które wyniosły go na powierzchnię. Nie zdołał on pojąć bowiem, iż Petersburg pozwala mu na reformy, właśnie pod naciskiem niepokoju panującego na ziemiach polskich. Z chwilą zupełnego uspokojenia Polski odpadną istotne przyczyny zmuszające Moskali do ustępstw. Wybrał on złą taktykę grożenia Polakom policją i wojskiem rosyjskim, a ugłaskiwania Rosjan. Nie rozumiał, że od Polaków niewiele można wyciągnąć groźbą, od Moskali wszystko, że nahajka zmusza ich do posłuchu, gdy Polaków tylko rozjusza. Pragnąc rozładować nabrzmiewające powstanie i pozbawić kraj najczynniejszych elementów rewolucyjnych — młodzieży, podsunął on władzom rosyjskim myśl o poborze rekruta, czyli t.zw. brance: miała ona odciągnąć z Kraju 12 tysięcy młodych ludzi, którzy mieli być wcieleni do szeregów rosyjskich. Chcąc zapobiec wybuchowi — przyspieszył go. Zarządzenie o brance doprowadziło do wybuchu powstania styczniowego. Królestwo zostało wydane przez tego samego cara Aleksandra II na łup satrapów i stupajek. Przeszło dwieście tysięcy ludzi zabitych, rannych, zesłanych na Sybir i wygnanych poza granice kraju — taki był rachunek rządów Bergów, Murawiewów i Czerkawskich.

* * *

Przed wygnaniem za granicę, Andrzej Zamoyski wezwany został przed oblicze cara Aleksandra II, na osobistą rozmowę. Na zapytanie samodzierżcy, czego właściwie chcą Polacy, Zamoyski odparł: spełnienia przyrzeczeń Aleksandra I, dawanych tylokrotnie Czartoryskiemu, iż Rosja odbuduje niepodległą Rzeczpospolitą przedrozbiorową.

„Być może — odparł po chwili głębokiego namysłu car — że moja babka Katarzyna popełniła wielki błąd i wielką niesprawiedliwość, przyczyniając się do rozbioru Polski, ale to co wy chcecie oznaczałoby dziś rozbiór Rosji... Hrabio, módl się za mnie do Boga..."

„Będę się modlił. Ale nie o to, by się spełniła wola Waszej Cesarskiej Mości, ale odwieczna wola Boża."

Car był — jak się zdawało Zamoyskiemu — wzruszony. Nikt jeszcze dotąd nie przemawiał w ten sposób do samodzierżcy Wszech-Rosji. Czy był szczery...? Czy wzruszenie to nie było tylko chwilowym odblaskiem jego dwoistej, wiecznie szamocącej się sprzecznie duszy liberała — autokraty, apostoła idei słowiańskiej i — gnębiciela Polaków... Trudno powiedzieć na pewno. Pewne światło na jego moralny zarys rzuca rozmowa, jaką miał z nim, już po „uśmierzeniu polskiego buntu" jego szwagier, Książę Aleksander Hesski podczas rozmowy o sytuacji w Królestwie zapytał go, „czy pomsta nad Polakami nigdy już nie ustanie? Aż strach pomyśleć o losach tego skatowanego narodu..." Car odparł na to: „Faites comme moi: n'y pensez pas!".

Powstanie styczniowe było w gruncie rzeczy tylko pierwszą falą wrzenia rewolucyjnego, które w ciągu następnych lat kilkunastu rozlało się po obszarze całego Imperium. Ofiarą jego padł i Aleksander II, rozszarpany bombą spiskowca, w przededniu ogłoszenia ukazu konstytucyjnego dla Rosji. Jest w tym tragizm dziejowy. Jest też i dziejowa nemezis.

WARSZAWA NA OSTRZU PIÓRA

Od szeregu miesięcy ukazywały się na łamach prasy polskiej felietony, szkice, opowiadania i fragmenty powieści Wiesława Wohnouta ,które zapewniły autorowi pozycję najbardziej znanego na naszym terenie przedstawiciela literatury o kraju pod okupacją niemiecką. Niektóre z tych utworów, wraz z innymi, nie ogłoszonymi dotąd drukiem, zebrał autor w jedną całość. Książka nosi tytuł „Opowiadania warszawskie" (wydawnictwo Pion).

Na marginesie warto nadmienić, że utwór nawet już raz czytany w czasopiśmie, dopiero w wydaniu książkowym nabiera właściwego znaczenia, ukazując nam swoje nowe strony. Ujmujemy go już na pewnym tle i w perspektywie, co pozwala na pełniejsze jego odczucie.

Najbardziej uderzającym osiągnięciem pisarskim Wohnouta jest nadzwyczaj wierne a zarazem plastyczne odtworzenie „klimatu" Warszawy pod okupacją. Udało się to autorowi jak nikomu dotąd. Wprawdzie i Kuszelewska w „Kobietach" z powodzeniem ten klimat oddaje, zresztą na terenie bardziej ograniczonym. U Wohnouta jednak obserwacja i sposób przedstawienia życia i ludzi Warszawy są nie tylko wszechstronniejsze, lecz zazwyczaj bardziej oryginalne i wnikliwsze.

Wohnout zdecydowanie sięgnął pod powierzchnię życia okupowanej Warszawy. Odrzucił wszystko, co w życiu tym stanowiło rytm zewnętrzny a co w literaturze na t.zw. tematy krajowe zeszło już najczęściej do roli rekwizytów. Niemcy, terror, główny nurt konspiracji i akcji bojowej występuje jedynie na marginesie. Cały zewnętrzny świat okupacyjny widzimy i odczuwamy jedynie poprzez życie i czyny poszczególnych bohaterów i poprzez specyficzne rysy obyczajowe i psychologiczne ówczesnych ludzi Warszawy. W ten sposób autor pochwycił na gorąco i utrwalił sposób myślenia i odczuwania, postawę moralną ,styl życia i sytuacje życiowe, które są tak typowe dla stolicy i niepowtarzalne. Nawet we wspomnieniach o ludziach wybitnych, z których każdy stanowił osobowość silnie zarysowaną i bardzo odrębną — znalazł autor zasadniczą więź wspólną, charakterystyczną dla atmosfery moralnej tych lat.

Większość jednak bohaterów książki to ludzie stanowiący jedynie indywidualne odmiany pracującej i walczącej masy społecznej. Związał ich autor z życiem bieżącym i osadził mocno w środowisku. I jakkolwiek są tylko na chybił trafił wybranymi przedstawicielami środowiska — nie wyłamując się z ogólnych ram — nie tracą nic ze swej żywości i wyrazistości. Ramy te stanowią zazwyczaj sprawy dalekie od nadzwyczajności (w każdym razie na miarę życia okupacyjnego). Zawsze jednak autor potrafi ukazać je w perspektywie celów ogólnych, moralnie i społecznie ważnych. Ten właśnie zmysł moralny i postawa społeczna autora, przebijająca poprzez wszystkie karty „Opowiadań" zasługuje na specjalne podkreślenie.

Jeśli chodzi o poszczególne opowiadania, to obok utworów pierwszej jakości, wyróżniających się doskonałą analizą psychologiczną i zacięciem w kreśleniu scen i postaci, jak np. „Matka z urną", „Czcionka Prota", „Chrystus Muranowski", „Wyrok", „Czerwony głos", „Kubuś marynarz" (ujmujący subtelnym humorem i niezmiernie trafną charakterystyką mentalności angielskiej) — tom zawiera również rzeczy słabsze. Niektóre opowiadania — jak to najczęściej bywa przy forsowaniu jakiejś idei i zbyt silnym dążeniu do pointy — są nieco mgliste i blade, nie zawsze zrozumiałe i mają morał zaakcentowany zbyt sztucznie. A przecież w „Tajemnicy stanu", również mocno podbudowanej ideologią, potrafił autor przeprowadzić swoją myśl w sposób zupełnie naturalny i plastyczny i nie dopuścił do tego, by ideolog i społecznik zepchnął na szary koniec — pisarza.

Wiesław Wohnout

Na specjalne zaakcentowanie zasługują opowiadania „Wyrok" i „Czerwony głos". Osiągnął w nich autor prawdziwy artyzm w kreśleniu scen o wysokim napięciu dramatycznym. Przede wszystkim „Czerwony głos" pod względem ekspresji jest osiągnięciem najwyższej klasy.

Wymieniony już „Chrystus Muranowski" wiąże „Opowiadania warszawskie" z drukującą się obecnie powieścią tegoż autora p.t. „Noc". W powieści Wohnouta znajdą czytelnicy kontynuację losów niektórych z bohaterów „Opowiadań". Świadczy to, że autor z materiału, który się w nim nagromadził, dał nam dotąd jedynie okruchy, marginalia powstałe przy pracy nad większym dziełem. Rozrzucone po pismach fragmenty zapowiedzianej powieści pozwalają już dzisiaj sądzić, że będzie ona dalszym wzbogaceniem wizji pisarskiej ludzi i życia Warszawy.

CEZARY GOŁKOWSKI

Angielska książka o dziennikarstwie

Czytelnik w zwierciadle prasy

Spośród osób piszących mało kto ma tyle sposobności do wypisania się, co dziennikarze. Ale jednak wciąż jeden z nich pokwapi się o napisanie książki i to książki o swoim zawodzie. Jeśli chodzi o rynek angielski i stosunkowo niedawne czasy, wyliczyć można co najmniej trzy książki godne uwagi. Nie ze względu na ich wielkość, ale na ich ciężar gatunkowy i osobę autorów.

Dwie z nich były już sygnalizowane polskiemu czytelnikowi: bardzo rozpowszechniona dzięki wydawnictwu Pingwina broszura Wickhama Steda, b. redaktora „Timesa", pt. „The Press", z roku 1938, która doczekała się szeregu wydań, i już podczas wojny wydana książka redaktora tygodnika „Spectator" Wilsona Harrisa pt. „The Daily Press" (Cambridge, 1943.*). Obecnie nie kto inny, ale właśnie szef urzędu cenzury brytyjskiej, a przez jakiś czas naczelny redaktor laburzystowskiego „Daily Herald" Francis Williams, napisał książkę p.t. „Press, parliament and people" (Prasa, parlament i czytelnicy — choć może „people" byłoby lepiej oddać słowem „naród".**)

Biorąc pod uwagę ilość osób, które bez żadnych na to danych uważa się za powołanych do rozprawiania i decydowania o fachu dziennikarskim, dziwić by się należało, że o prasie piszą ludzie prasy. Natomiast nikt nie powinien się dziwić temu, że starają się oni czynić to przynajmniej z pewnym wdziękiem. Dlatego też idąc walnie za przykładem nieodżałowanego Roberta de Jouvenela, autora spolszczonego „Dziennikarstwa w 20 lekcjach", niejeden z nich szafuje przy tym obficie paradoksami.

Tak czyni też i Williams, który redagowanie dziennika zamienił podczas wojny na niewdzięczną rolę szefa brytyjskiej cenzury prasowej i obecnie przedstawia się w swej książce, jako prawdziwy czempion, czyli mistrz i przysięgły obrońca — wolności prasy. Może będzie jeszcze sposobność powrócić do jego przezabawnych doświadczeń na stanowisku szefa cenzury i współorganizatora propagandy brytyjskiej. Na razie wypadnie zatrzymać się na jego interesujących spostrzeżeniach dotyczących stosunków między prasą i czytelnikami.

DAWID PRZECIWKO GOLIATOWI

Doświadczenia swe, poczynione na dobrze znanym sobie terenie angielskim, autor nasz ujmuje w formie tezy, która jak motyw przewodni przewija się w jego książce, a zwłaszcza w rozdziale „o nakładach i wpływach politycznych". Mianowicie, że w miarę rozwoju technicznego prasy i zwiększania się nakładu dzienników — wpływ polityczny prasy codziennej wciąż maleje. Tu więc również prawo jakości toczy bój z prawem ilości.

Zresztą autor nie rozumie swej tezy zbyt banalnie. Nie chodzi mu o to, że wielki dziennik ma mniejszy wpływ od małego, lecz raczej, że wielki dziennik tj. dziennik o wielkim nakładzie (do 4 mil. egz. dziennie) nie ma w ogóle żadnego wpływu politycznego na czytelnika, w przeciwieństwie do jakiegoś periodyku o stosunkowo zupełnie nieznacznym nakładzie (kilkudziesięciu tysięcy tygodniowo). Teza ta zresztą już przed dobrymi 15 laty była głoszona w publikacjach polskich dziennikarzy.

Ten naczelny paradoks autora najlepiej tłumaczy się... drugim paradoksem. Mianowicie, że dziennikarstwo, które przez tak długi czas było wolnym zawodem, stało się ostatnio po prostu odmianą przemysłu rozrywkowego. Więcej myśli o dogadzaniu gustom czytelników, gonących za sensacją, niezwykłością i wszelką zabawą, aniżeli za... poważną lekturą. Nie zatem dziwnego, że — jak utrzymuje Francis Williams — poparcie, jakie otrzymał Churchill w wyborach do parlamentu ze strony kilku bardzo popularnych i wziętych dzienników, jak „Daily Express" i „Daily News" nie tylko mu nie pomogło, ale raczej zaszkodziło.

Wobec tego jednak, że nie ma zasady bez wyjątków, więc i tu można przytoczyć tytuły kilku wybranych gazet, jak „Times", „Manchester Guardian", „Daily Herald" lub „News Chronicle". W każdym razie nie są to bynajmniej najpopularniejsze dzienniki i faktem jest, że periodyki o znacznie mniejszych nakładach od dzienników mają większy i istotniejszy wpływ na swego czytelnika. Znów z zastrzeżeniem, żeby tego zbyt dosłownie nie rozumieć, t.j., że nie wpajają poglądów swoim czytelnikom, lecz raczej, że pozwalają czytelnikom urobić sobie na nich swoje przekonania.

Stąd naturalnym jest zjawisko, zauważone przez naszego autora, że im większy jest nakład dziennika, tym częściej może się mylić w dziedzinie polityki, a nawet może sobie pozwalać na salto mortale w niczym nie szkodząc swej poczytności czy pokupności. Williams ilustruje tę regułę na przykładzie doświadczeń poczynionych przez „Daily Express", który przy nakładzie około 4 mil. czytany jest przez około 12 mil. ludzi. Żadne zmiany orientacji, czy polityczne salto mortale nie zdoła takiemu dziennikowi zaszkodzić.

Autor nasz uważa, że obojętność czytelników na zawodność sądów i nieodpowiedzialność pod względem politycznym dzienników o wysokich nakładach jest wogóle cechą charakterystyczną współczesnego czytelnictwa. Williams twierdzi, że tak samo zresztą posiąpiłby widz w cyrku, gdyby żongler nagle przerwał swoje popisy i przystąpił do wykładania swoich — na przykład — poglądów gospodarczych. Lord Burnham może jeszcze dobitniej mówił do studentów na wydziale dziennikarskim uniwersytetu londyńskiego: „Sądzę, że dzienniki są podobne do modnych pań z West Endu (elegancka dzielnica Londynu — przyp. red.), które bardziej dbają o swój wygląd aniżeli o swoje obyczaje".

PRASA A WŁADZA

Niemniej dzienniki broniąc swej niezależności — jedną z ostoi ustroju demokratycznego, pisze nasz autor. Wiadomo: kto chce zaprowadzić dyktaturę, ten zaczyna od kneblowania prasy. Na zarzut zaś, że prasa pragnie sprawować władzę bez odpowiedzialności odpowiada się, że może jest w tym coś z jej powołania. Bo „prasa żyje z rewelacji". Dlatego tak trudno o zgodę między dziennikarzami a ministrami i ambasadorami skłonnymi do tajnej dyplomacji.

Z drugiej strony wiadomo, że uzależnienie prasy wyłącznie od oficjalnych źródeł informacji nigdy nie wychodzi na dobre opinii publicznej. Natomiast pewna kontrola prasy nad władzą ma tę dobrą stronę, że zapobiega jej nadużywaniu. Gdyż jeśli faktycznie dzienniki mają mały wpływ na urabianie się opinii politycznej czytelników w Anglii, to przedstawiciele władzy natomiast poważnie się liczą z ich opinią. Ministrowie — zaznacza nasz autor — bywają bardzo czuli na głosy prasy. I tak dzięki niej możni tego świata przypominają sobie, że mają być sługami narodu. Niemniej ministrowie, ambasadorowie i wszelkiego rodzaju inni dyrektorowie są tylko drobną cząstką ogółu czytelniczego.

Autor nasz cytuje powiedzenie Kennedy Jonesa do Lorda Morley'a — po założeniu „Daily Mail": „Pozostawił pan nam dziennikarstwo, jako wolny zawód, a myśmy z niego zrobili nowy dział handlu". To powiedzenie nie odnosi się właściwie do angielskiej prasy prowincjonalnej, gdyż jej czytelnik godzi się raczej na trochę nudniejszą gazetę, byleby była solidna. Również zdolniejsi dziennikarze dopiero wówczas przenoszą się do prasy stołecznej, gdy decydują się trochę sprzeniewierzyć swoim ambicjom zawodowym na rzecz lepszych zarobków. Autor zaznacza przy tym, że jeżeli przy obecnym skomercjalizowaniu prasy zachowuje ona wciąż jeszcze jakiś poziom, to dlatego, że dziennikarze nigdy nie chcą całkowicie zrezygnować z tych swoich ambicji.

SZLACHETNA AMBICJA I AMBITNA NIEKOMPETENCJA

Te solidniejsze ambicje wyżywają się szczególnie na łamach periodyków. O nich Williams mówi: „Poważne tygodniki wywierają wpływ polityczny znacznie wykraczający poza wielkość ich nakładu, bo są czytane przez ludzi łaknących rozumowanych omówień, jak również przez wielu takich, którzy z racji zajmowanych stanowisk decydują w ważnych sprawach i wywierają wpływ na innych". Ten pęd do poważniejszej prasy autor tłumaczy rozpowszechnieniem się oświaty, zwiększeniem się warstwy ludzi z niższym i co najmniej średnim wykształceniem. Istotnie z wywodów autora wynika, że przymusowe powszechne nauczanie podnosi poziom czytelnictwa, a zatem i prasy, a dobra prasa jest ostoją demokracji, która znów jest szermierzem... powszechnego przymusowego nauczania.

W stosunkach między czytelnikiem i jego gazetą odgrywają również rolę sprawy czysto techniczne i finansowe.

CANIS BENE MERENTIUM

czyli MAŁY PIES A WIELKI WSTYD

napisał TADEUSZ NOWAKOWSKI

Gdyby Rozalik nie jadł psa, nie poszedłby na front.

Gdyby pani Radtke pokojowego psa w niespokojnych wojennych czasach nie wypuszczała do ogrodu, dzieci Rozalika nie zostałyby sierotami.

Pies nazywał się Miki i nie był wcale psem, lecz suką.

Stanowił własność pani Radtke, właścicielki małego domku z dużym czerwonym dachem i małym zielonym ogródkiem.

Gdyby nie Adolf Hitler (jak to się zawsze łączą błahe zdarzenia z wielką historią!), Miki nie zostałaby usmażona na patelni, a Rozalik zakopany w rosyjskim śniegu.

Ale Hitlera, diabeł — patron imperialistów, pokusił napaść na Polskę, ojczyznę Wenerskiego i oddać jedno z jej najpiękniejszych województw, województwo Wenerskiego, krwawemu Greiserowi na pastwę.

Jak to jedno pociągnięcie pociąga za sobą drugie! Jak to jeden grzech rodzi drugi, i jak to wszystko ładnie ze siebie wynika!

Greisera znowu równie złe moce pokusiły mianować niejakiego dra Kleista kierownikiem placówki gestapo w Inowrocławiu, a Kleist, niczego złego nie przeczuwając, zaangażował do włocławskiej ekspozytury tejże instytucji Julusia Franka.

Juluś Frank chociaż o Miki i o Rozaliku w życiu swoim nie słyszał, wpadł na fatalny w skutkach pomysł aresztowania robotnika sezonowego cukrowni w Brześciu Kujawskim, Franciszka Wenerskiego.

(Brześć Kujawski słynie z cukrowni i z omszonego kamienia przed farą, na którym odpoczywał Władysław Łokietek, a Wenerski ma dopiero zasłynąć jako bohater niniejszego opowiadania).

Wenerski nawet w najśmielszych snach sobie nie marzył, że stanie się niebezpiecznym więźniem politycznym. Co tydzień brudnymi od buraków pałcami stawiał swoje trzy krzyżyki na liście płacy, hodował króliki i gołębie, słowem pędził swój własny żywot Franciszka Wenerskiego. Pędził samogonkę z deputatowego cukru i gdy Niemcy wpadli do Polski, wcale tego nie zauważył, bo był właśnie zajęty budową nowej klatki na króliki.

Wszystko zło na świecie rodzi się w biurach. Z biura wyszedł pewnego dnia pan buchalter w białym kołnierzyku i zaczął przywadze czytać robotnikom gazetę z Warszawy, a Wenerski, słuchacz mimo woli, nie znając niemieckiego kodeksu karnego stał się bezwiednie niebezpiecznym zbrodniarzem politycznym (§ 139), bo nie wsiadł na rower i nie pocwalował do odległego o 12 km. miasta i nie zadenuncjował pana buchaltera i reszty przysłuchujących się rodaków.

Ach, gdyby Wenerski znał § 139!

Sam by może żył po dziś dzień, Miki nie zginęłaby śmiercią kulinarną i Rozalik dożyłby cało i bezpiecznie na swej 120-markowej (+ dodatek na dzieci) posadce do czasów sowieckiej okupacji Niemiec.

Krytycznego dnia, niczego złego nie przeczuwając, obudzili się jak co dzień, Hilfswachtmeister Rozalik o piątek rano, Franciszek Wenerski o ,ątej minut trzydzieści, suka pa.i Radtke o szóstej, a pani Radtke o wpół do siódmej...

Rozalik wyprostował swój szkielet z chrzęstem, Wenerski zaklął, bo mu się wszy śniły duże jak czołg T 34, a wszy — wiadomo — nie dobrego; nieprzyjemności towarzyskie, Miki zaszczekała, a pani Radtke zaczęła ścierać kurz...

Rozalik wychrzęścił się z łóżka i poniósł swój szkielet na skrzypiących piszczelach do więzienia, Wenerski wraz z całą kolumną roboczą, napiwszy się brudnej i nieapetycznej cieczy zwanej kawą, gotował się do wymarszu, pani Radtke poszła do miasta, po proszek do czyszczenia zlewu „ATA", a Miki wybiegła do ogrodu...

Ogródek graniczył z terenem robót, na którym polscy więźniowie po trupach do zwycięstwa budowali dla niemieckiej młodzieży stadion, piękny jak rzymski cyrk za Nerona.

Główne sceny dramatu zaczynają zbliżać się do siebie, mimo, że na tym dziwnym, pełnym zagadek i smutnej wesołości świecie mieszkają dwa miliardy ludzi i kilkaset tysięcy psów, drogi ich niczem tory krążących w wszechświecie ciał astralnych zaczynają się ze sobą krzyżować! Uwaga!

Rozalik z kolumną doszedł do stadionu. Wenerski stanął przy parkanie,

a Miki merdając ogonkiem przybiegła pod żywopłot.

I wtedy spojrzenia ich spotkały się!

Wenerski spojrzał na psa i zadrżał, po czym emknął sobie w duchu.

— Wieuś — rzekł do kelnera Kędzierskiego — to nie jest pies, ale żywa wędzona szynka!... Z tyłu pulchny, okrągły i różowy, tłuszcz wprost z niego kapie...

Miki, jak modelka na pokazie mód, obracała się wokół swego ogona, demonstrując krótkie apetyczne nogi, krągły brzuszek i dwie kule tłustego mięsa.

Wieuslowi oczy zapłonęły niezdrowym blaskiem, Wenerski zmrużył swe dwie śliwki, w złym miejscu wgniecione w czoło, zatarł ręce i zlizał ślinkę z ust.

— Ta albo żadna! — powiedział sobie patrząc na zalotnie wdzięczącą się Miki.

Wenerski na terenie robót pracował w kuźni.

Była to sui generis synekura: można było w palenisku piec kartofle i po kryjomu kurzyć „fetki". Praca oficjalnie uchodziła za najlżejszą, w granicie rzeczy była najlżejsza. Przez okienko w szopie Wenerski widział już z dala zbliżającego się strażnika. Wtedy podkasywał rękawy, plił w łapy i chwytał za młot. Gdy strażnik wchodził, Wenerski go w szale pracy nie widział, walił młotem jak opętaniec. Gdy strażnik klepał go z uznaniem po plecach, Wenerski nieprzytomny wracał na ziemię z innego świata, ze świata pracy, i ocierał sobie rękawem pot z czoła...

Od paru dni Wieuś wrobił się psim swędem do kuźni jako pomocnik kowala.. Nikt mu tego nie zazdrości. Niech się 38-kilowy Wieuś podreperuje!

Wieuś od częstego noszenia 50-cio kilowych worków z cementem od paru dni popadł w pewne dziwactwo: wciąż mówi o swojej popędzie. Papuga, która cierpliwie czeka na powrót swego pana, zwie się „Tere-fere", W ostatnim liście do żony Wieuś poświęcił papudze ¾ swego listu. List zaczynał się od słów:

„Kochana „Tere-fere" i Ty miła żono!" — i zawierał setki szczegółowych poleceń w sprawie utrzymania higieny w klatce, doboru ziarna itd. i kończył się:

„całuję kochaną „Tere-fere" w dziobek oraz pozdrawiam Ciebie, droga żono — Wasz Wincenty".

—Tak nie można — próbowałem oponować przekładając mu list — według przepisów więziennych — na język niemiecki.

Na co Wieuś odpowiedział mi sentencjonalnie:

„zła żona nigdy ci, chłopcze, dobrej papugi nie zastąpi"...

Wieuś-wiecekował miota nie może unieść, więc tylko robi wiele ruchu i szumu, chucha w ogień i dmucha, zamiata, biega, z jakimś tępym narzędziem i nosi koks.

— Wieek, worek — krzyczy Wenerski.

Po chwili korzystając z chwilowej nieobecności Rozalika i drugiego strażnika Fickera, zwanego „Bulą", którzy w drugim końcu bolsko sprawdzają, czy torki są po czuby napełnione ziemią, Wenerski czołga się pod żywopłot.

— Cacy piesek, cacy — uśmiecha się przymilnie — chodź tu, psinka, chodź, pan da ci kiełbaski...

Pies podbiega radośnie merdając ogonkiem, Wenerski cap go za łeb i do worka.

Za chwilę w kuźni Wieek z Wenerskim tańczą wokół od hoc spreparowanej ze stary blachy brytwanny niczem biblijni izraelici wokół złotego cielca.

— Dawaj margarynę! — woła Wenerski.

Wieuś spod skrzyni z zardzewiałymi gwoździami wyjmuje trochę żółtego paskudztwa w papierku.

— Soli!...

— Cebulki!...

— Więcej cebulki!...

Wieuś spod pudła ze śrubami wyjmuje pęczek „zorganizowanej" cebuli.

— A kartofelki gotowe?

— Drzwi zamykaj, okna nie otwieraj, bo zapach smażonego mięsa całe miasto nam tu na głowę zwali!...

Wenerski krzyknął za późno, bo zapach już się wypsnął przez szczelinę w drzwiach i dotarł do pierwszej grupki pracujących w pobliżu kuźni.

— W kuźni coś smażą — mówi do mnie Jasiu Godlewski — idź na rekonesans...

Ubijając kamienie przesuwam się z moim ubijakiem coraz bliżej w kierunku smażonego mięsa i w pewnej chwili wpadam niespodziewanie do środka.

— Nie róbcie, jak Boga kocham, grandy! — krzyczy Wenerski — czy chcecie, żebym „podpadł"? — i rzuca mi łaskawie na odczepnego kawałek gorącego mięsa.

Poemat Fibicha nie mięso, pieśń nad pieśniami, balsam i ambrozja, ósmy cud świata!..

— Rozalik idzie! — sygnalizuje Wieek.

Już wlazł.

— Was ist das? — pyta kłapiąc szczękami — seid ihr verrückt geworden? — Skąd mata ten fleisch, pieruny?...

Wieuś zaczyna mu jak z rękawa opowiadać bajeczki z tysiąca i jednej nocy, opowieści Hoffmana, księgi Sybilli, ballady i romanse: że mięso to otrzymali koledzy za dobrą pracę, w rzeźni, gdzie zamiatali podwórko, że pan dyrektor rzeźni podarował im kawałek mięsa, ale chłopcy nie mieli go sobie gdzie upiec, a surowego mięsa jeść nie chcieli, bo surowe mięso jest bardzo niezdrowe, a co ugotowane to ugotowane, a usmażone to już najzdrowsze...

Mięso nie jest złe... Kawałek tłusty i od kulki... Może pan wachtmeister spróbuje?

Pan wachtmeister patrzał na mięso i oczy wyłaziły mu z oczodołów, a czaszka kiwała się jak na sprężynce...

— Nie gadaj tyle! — huknął Wenerski — wybierz panu wachmistrzowi najładniejszy kawałek, oblej tłuszczem i obłóż młodymi kartofelkami!...

Rozalik zżarł na poczekaniu.

— Gutes Fleisch — mruczał i oblizywał sobie palce.

— Nie pozwólcie się tylko nakryć przez Fickera — burknął na odchodne. I odszedł udobruchany.

Nazajutrz do badacza pisma świętego, zasuszonego jak badyl z zielnika Regierungsrata dr Schmitza przychodzi jakaś zapłakana pani.

Dyrektor nie chce dać wiary.

— Niech się pani nie zapomina! — woła pochylając się nad biurkiem — niech pani nie obraża mojego zakładu! Jaki interes miałby w tym nasi wychowankowie, aby porywać pani zwierzęta domowe?... Przepisy więzienne — rozdział III — ustęp 6 d — zabraniają trzymania psów, kotów i ptaków w więzieniu. Nasi więźniowie są zresztą pod stałą strażą i obserwacją naszego wykwalifikowanego personelu wartowniczego.. Nasi więźniowie rekrutują się z wysokowartościowego elementu, są to przestępcy polityczni, oddani nam ..a specjalne przechowanie przez tajną policję państwową... Odżywiani dobrze, traktowani po dżentelmeńsku nie sprawiają nam nigdy kłopotu swoim zachowaniem. Otaczamy ich, droga pani, najlepszą opieką mając na uwadze, że i nasz kochany Führer (w tym miejscu dr Schmitz i Frau Radtke wyprostowali się) był więźniem politycznym, że ojciec naszego kościoła Martin Luther, a nawet Pan nasz Zbawiciel uciskani byli za swoje przekonania...

Pani Radtke raz jeszcze wraca do krytycznego dnia:

— Wyszłam — mówi — na chwilę do miasta kupić pudełko „ATA" do czyszczenia zlewu... Już w mieście, koło piekarza Kalmanna, zaczęło mi dzwonić w lewym uchu i wtedy tknęło mnie dziwne przeczucie, że Miki musiało się coś stać... Wróciłam biegiem do domu i kiedy Miki nie rzuciła mi się jak zwykle z radosnym szczekaniem do nóg — pobiegłam do ogrodu i zaczęłam wołać:

— „Miki, Miki, wo bist du?..."

Przeszukałam wszystkie grządki i działki, zajrzałam do altany, pobiegłam do sąsiadów, obszukałam całą ulicę i dzielnicę — wszystko na nic. Miki przepadła jak kamień w wodzie... I wtedy sąsiadka Müller rzuciła podejrzenie na Polaków pracujących

za parkanem... Pobiegłam na miejsce pracy, ale więźniowie poszli już do więzienia... Proszę więc pana, panie dyrektorze, o pomoc... Musi pan koniecznie przesłuchać wszystkich Polaków... Miki była nieduża, tłuściutka, z białą łatką na czole i wstążeczką na szyi... Pies o niecodziennym rysopisie, który swoją urodą łatwo utrwala się w pamięci...

— Gut, gut, niech pani przyjdzie jutro o tej samej porze.

Nieutulona w żalu pani Radtke wychodzi z bezdźwięcznym „Heil Hitler" na ustach, a pan w tużurku i sztywnym kołnierzyku dusi na guzik.

— „Herr Hauptwachtmeister Eichler! Załóż pan akta. Na teczce numer bieżący 26 łamane przez duże „I" — tytuł: „Untersuchung in Sache: Diebstahl eines Hundes" (Śledztwo w sprawie kradzieży psa).

Następnego dnia wymarsz do pracy zostaje wstrzymany.

Naszą gromadkę prowadzą przez tuzin hermetycznych furtek i furteczek na przesłuchy.

Hauptwachtmeister Eichler, żywy antatek, zabawia się w Sherlocka Holmesa, dzieli nas na małe grupki i każdą z tych grupek łapie.

Do każdego wprowadzonego przez Rozalika do pokoju więźnia podchodzi powoli i ociężale i łapie, która sama waży około pięciu kilogramów — pac go! — w twarz. Rozalik chwyta delikwenta swoimi kościstymi palcami za kołnierz i podnosi go.

— Tyś ukradł psa! — woła góra mięsa.

— Mów prawdę — syczy Rozalik.

Delikwent nie wie w pierwszej chwili, kto zwariował?

On, Eichler, czy Rozalik? Więzień nie byłby więźniem, gdyby na każde pytanie nie odpowiadał instynktownie: nie!

To „nie!" płynie już w żyłach, to „nie" ma się już we krwi. Na wszystkie pogróżki Eichlera, stosownie do usposobienia — głośno, cicho, nisko, wysoko, piskliwie, chrapliwie, buńcznie lub pokornie pada:

— Nie!

I jeszcze raz: nie!

Wtedy Eichler, początkująca imitacja parodii falsyfikatu sędziego śledczego niby to zagląda do jakiejś teczki, wybiera sobie z listy więźniów pierwsze lepsze nazwiska i mówi:

— Twój kolega Krawtschik zeznał, że ty ukradłeś psa!

Wtedy więzień śmieje się:

— Krawczyk to właśnie ja...

Eichler poprawia się:

— Die verdammten polnischen Namen, nie Krawtschik tylko... tylko... Tschaptzky...

— Czapski już nie żyje...

— Donnerwetter, co za bałagan! Dlaczego Tschaptzky nie został skreślony z listy? Biuro nic nie wie o śmierci Tschaptzky'ego!

Do Regierungsrata dr Schmitza wpada jak meteor pani Radtke:

— Doch, doch! — krzyczy — bitte, oto dowód! Dziś rano znalazłam przy żywopłocie niebieską chusteczkę do nosa z numerem „1249!... Intuicja mnie nie zawiodła, to jednak Polacy ukradli Miki!...

Dr Schmitz nie chce wierzyć swoim oczom. Zdejmuje okulary, podchodzi do okna, ogląda krótkowzrocznym okiem brudną chusteczkę z więziennym stemplem.

— So eine Schande — zaciska pięści — für unsere Musteranstalt! Taka hańba dla naszego wzorowego zakładu!... Już trzysta lat służy nasze więzienie państwu i społeczeństwu, ale jeszcze nigdy w historii naszego zakładu nie notowano podobnego wybryku!... Niewdzięczny naród!... Hundendiebe!... Verdammten polnische Hundendiebe!... Przeklęte polskie psokrady!...

Dr Schmitz dusi guzik:

— Herr Hauptwachtmeister Eichler! Proszę zreferować mi pokrótce dotychczasowe wyniki śledztwa w sprawie „26/I".

Eichler sapie i rozkłada ręce.

— Sie sind kein guter Beamter, Herr Eichler — mówi z wyrzutem Regierungsrat — nie jest pan dobrym urzędnikiem, panie Eichler — ja wiem już wszystko bez pańskiej pomocy... Proszę jeszcze raz przesłuchać więźnia numer 1249!...

Eichler zdumiony genialnością swego zwierzchnika wychodzi.

Za chwilę słychać za ścianą nieludzki ryk Wenerskiego.

Eichler udawadnia, że jest dobrym urzędnikiem.

Frau Radtke szarpie nerwowo batystową chusteczkę i szlocha:

— To jest podle! To jest nikczemne.. i barbarzyńskie!... Psa.. niewinnego psa w biały dzień porwać! A co on mu dał jeść? A gdzie Miki spała?... Miki we więzieniu! Razem z mordercami i Polakami!... Jeszcze mi pchel naniesie do domu!...

Badacz pisma świętego raz jeszcze woła Eichlera:

— Wolno panu tego bandytę bić, ale nie wolno go panu zabijać, bo inaczej nie dowiemy się, gdzie jest pies!

— Tak! Tak! Gdzie jest pies? — denerwuje się niecierpliwie pani Radtke.

Po chwili spocony od sumiennego wykonywania swych służbowych czynności Eichler wprowadza za kołnierz Wenerskiego...

Regierungsrat dr Schmitz pod portretem Führera, między gipsowymi biustami Goethego i Schillera, czai się na widok Wenerskiego do skoku prychając jak kot...

Nad głową dr Schmitza wije się napis w ozdobnym gotyku: „Gott ist meine feste Burg" (Bóg jest moim zamczyskiem).

Frau Radtke podrywa się z miejsca, podobna do rozdrażnionej kocicy pantery, której zabrano młode...

Wenerskiemu krew cieknie z nosa na usta i chce płakać, ale porusza grdyką i żaden dźwięk nie wydobywa mu się z gardła.

Eichler z trudem chwyta powietrze:

— On mówi... on mówi... że psa już nie ma...

— Co? — krzyczy pani Radtke — że psa już nie ma?

— Co zrobiłeś z psem? — podchodzi dr Schmitz do Wenerskiego.

— Co zrobiłeś z psem? — dyszy Eichler potrząsając Wenerskim.

— Co zrobiłeś z psem? — histerycznie tupie nogami pani Radtke.

Wenerski uśmiecha się zakrwawioną gębą:

—Zjadłem go...

— Nie kpij sobie z pana dyrektora! — huczy Eichler.

— Zjadłem go! — powtarza Wenerski — bardzo mi smakował...

Regierungsrat chwyta się za głowę, pani Radtke za serce, Eichler za pałkę...

Po chwili słychać duet: Wenerski beczy basem, pani Radtke płacze kolaturą.

— Kto ciebie upoważnił do zjedzenia psa? — pyta Regierungsrat dr Schmitz podnosząc rękę do góry.

Pani Radtke podskakuje jakby ją ugryzła wściekła mucha:

— Więzienie jest winne — skrzeczy — tylko więzienie!... — Więzienie nie powinno takich zbrodniarzy wypuszczać z pilnicy na światło dzienne. Więzienie zapłaci mi odszkodowanie za Miki!... Ja sprawę skieruję do sądu, ja się zażalę w partii, ja o tym napiszę w naszej kobiecej gazecie!...

— So eine Schande — powtarza dr Schmitz — taka hańba, po trzystudziesięciu latach istnienia... I to za mojej kadencji!...

— Nie ja jeden zjadłem psa — tłumaczy się Wenerski — psa zjadł ze mną pan wachmistrz Rozalik...

— Ty polski wieprzu — uderza go Eichler w głowę — chcesz niemieckiego urzędnika oczernić!...

— Tak jest — z uporem obstaje przy swoim twierdzeniu Wenerski — pan wachmistrz zjadł psa ze mną i powiedział jeszcze, że to bardzo, bardzo dobre mięso...

— Wody — prosi pani Radtke — wody...

Regierungsrat Eichler naciska guzik:

— Wezwać natychmiast strażnika Rozalika!

Wchodzi trupio blady Rozalik i salutuje.

— Wie kommen Sie dazu einen Hund zu schlachten? — pyta go Regierungsrat.

— Ich?... ich?... — jąka się Rozalik gnąc się z chrzęstem na piszczelach.

Rozalik popełnia z miejsca wielki błąd: urzędnikowi nie wolno się jąkać.

— Tak! Tak! Pan, właśnie pan — krzyczą: pani Radtke, dr Schmitz i Wenerski razem. Przy czym Wenerski krzyczy najgłośniej, rad, że z oskarżonego staje się na chwilę oskarżycielem.

— Nie przypomina pan sobie? — mówi ostro Wenerski — wczoraj zjadł pan przecież w mojej kuźni pełną menażkę mięsa z cebulką...

— Z cebulką — jęknęła głucho wyczerpana nerwowo pani Radtke i opadła na krzesło, nie mając sił do kontynuowania tej nieprzyjemnej rozmowy.

Półżywy z przerażenia Rozalik zaczyna się mętnie i nieudolnie tłumaczyć, co tylko pogarsza jego sytuację...

— Dosyć! — krzyczy Regierungsrat — dosyć!... Z dniem dzisiejszym zostaje pan wydalony z posady!... Proszę natychmiast oddać broń i zdjąć mundur!... Jutro zameldujesz się pan w wojskowym biurze meldunkowym, kartę reklamacyjną wyślę władzom wojskowym listem poleconym. Tylko wzgląd na pańskie dzieci powstrzymuje mnie od złożenia meldunku do gestapo. Rrrraus!...

Rozalik wychodzi, ogłuszony, z pokoju.

Panią Radtke wyprowadza ostrożnie dr Schmitz pod rękę na korytarz.

Wenerskiego wynosi Eichler za kołnierz do podziemnego bunkru. W bunkrze czeka Wenerskiego czternaście dni o 120-stu gramach chleba dziennie i dzbanku wody.

Wieuslowi się upiekło. Wieuś wyszedł z opresji cało. Wieuś by czternastu dni aresztu nigdy nie przetrzymał.

Męczeństwo Wenerskiego sprawiło, że za karę nie brali nas więcej do budowy stadionu, co przyjęliśmy ze łzami radości.

Pani Radtke dla zatuszowania skandalu otrzymała odszkodowanie w wysokości 150-ciu marek, które zostały nam potrącone z pieniędzy zdeponowanych w biurze.

Rozalik pojechał na front rosyjski, gdzie — jak dowiedzieliśmy się potem od Kotzura — już w dwa miesiące po wyjeździe z Zwickau z imitacji szkieletu ludzkiego stał się autentycznym trupem.

Co chciałaby czytać młodzież w Kraju

Jak donosi prasa krajowa, odbyła się w Warszawie staraniem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" konferencja w sprawie literatury dla młodzieży, przy współudziale autorów, krytyków literackich, redaktorów pism dla młodzieży, oraz przedstawicieli kierownictwa bibliotek dla dzieci i młodzieży.

Na konferencji tej przedstawiono wyniki badań nad zainteresowaniami czytelniczymi młodzieży na podstawie przeprowadzonych ankiet i badań dodatkowych. Badania te objęły cztery ośrodki wielkomiejskie (teren 19 gimnazjów). Uzyskano odpowiedzi od 2.964 chłopców i 2.720 dziewcząt w wieku od lat 12 — 18 ze wszystkich ośrodków społecznych.

Jest rzeczą niesłychanie ciekawą, jakich autorów i jakie książki młodzież w Polsce czyta najchętniej. Otóż według badań tych trzy pierwsze miejsca zajmują kolejno: Sienkiewicz, Prus i Mickiewicz (jedynie jako autor Pana Tadeusza). W dalszym ciągu spotykamy nazwiska: Kraszewskiego, Żeromskiego, Orzeszkowej, Reymonta, Rodziewiczówny, Słowackiego, Makuszyńskiego, Kossak-Szczuckiej, May'a, Londona, Verne'a, Czarskiej. Książką najulubieńszą jest Trylogia, stoi na pierwszym miejscu daleko przed innymi tytułami nawet dzieł Sienkiewicza.

W pierwszej piętnastce spotykamy prócz tego jeszcze: Quo Vadis, Krzyżaków, W Pustyni i w Puszczy, Pana Tadeusza, Starą Baśń, Lalkę, Faraona, Placówkę, Dewajtis, Nad Niemnem, Ludzi Bezdomnych.

Nie można powiedzieć, ażeby wybór młodzieży był zły. Jest on nawet bardzo dobry. Padł on na nazwiska pierwszorzędne i przede wszystkim, pomijając trzech pisarzy cudzoziemskich, którzy przyciągnęli zupełnie zrozumiałe umysły młodzieży jako autorzy książek o charakterze podróżniczym i „przygodowym" — na autorów bardzo polskich i bardzo zdrowych. Cóż to za kapitalna trójka, te trzy pierwsze nazwiska: Sienkiewicz, Prus i Mickiewicz. Nie dziwi nas Sienkiewicz, oraz fakt, że na pierwszym miejscu stoi Trylogia. Nie pomogły przedwojenne jeszcze kampanie przeciwko Sienkiewiczowi. Wielka wartość jego dzieł dopóty będzie oceniana przez najszersze warstwy narodu, póki naród ten będzie zdrowy. I naodwrót poczytność zwłaszcza Trylogii zawsze będzie świadczyła o tym, że rdzeń społeczeństwa jest nienaruszony i nienadwątlony.

Pisana „ku pokrzepieniu serc", Trylogia spełniała cel ten od chwili powstania i spełnia go dzisiaj. Czytanie jej w wrażliwych umysłach młodzieży budziło, budzi i budzić będzie wszystkie najszlachetniejsze struny patriotyzmu, a wyobraźnię jej zapali i podnieci w najlepszym tego słowa znaczeniu. Któż zresztą z nas zapomni postacie Skrzetuskich, Kmiciców, Wołodyjowskich, któż zapomni Zagłobę! Któż z nas nie czytał jej jako młodzieniec i nie czytał jej znowu jako dojrzały człowiek, i to nie tylko raz! Któż, przyznamy się, nie weźmie jej jeszcze dzisiaj po raz niewiadomo który z przyjemnością do ręki? Wytrzymała ona próbę czasu i oparła się temu najostrzejszemu i najsurowszemu krytykowi. I dlatego z innych może sobie niewiele robić.

Zastanawia poczytność Prusa, a z dzieł Prusa „Faraon". Nie będziemy się tu wdawali w ocenę, kto jest większy, Sienkiewicz czy Prus. Obydwaj są inni i inną miarę trzeba do nich przykładać. Ale Prus jest niewątpliwie zewnętrznie mniej barwny, niż Sienkiewicz, którego fantazja tworzy bardziej szerokie, barwne i pociągające malowidła, niż rzeźbiący w głąb Prus. Z dzieł Prusa „Faraon" — który nawiasem mówiąc, niedawno ukazał się w przekładzie niemieckim w Szwajcarii — jest jedną z najpiękniejszych książek, jakie kiedykolwiek napisano na temat człowieka rządzącego. Nie jest to rozprawa, nie jest to rozumowanie oderwane. Sięga ono głęboko i plastycznie w nurt życia. Nie można z tym arcydziełem zestawić, ani „Salambo" Flaubert'a, ani w ogóle żadnej książki o podobnym temacie. I dlatego jest rzeczą bardzo ciekawą, że młodzież czyta „Faraona", bo bije w tej książce mocny puls zagadnień rządzenia żywych ludzi przez żywego człowieka, tak bardzo żywy, iż książka ta należy do arcydzieł światowych. O ile Trylogia jest nawet zewnętrznie tak polska, że dla cudzoziemca oprócz innych powabów będzie miała pewien urok egzotyzmu, o tyle w „Faraonie" wybijają się jako znamię najbardziej charakterystyczne na plan pierwszy zagadnienia, mające znaczenie wszędzie i zawsze.

„Faraon" uderza jako książka, do której zwraca się zainteresowanie młodzieży. Zestawiając Trylogię z „Faraonem" i z „Panem Tadeuszem", na tle innych przytoczonych nazwisk, można by określić zainteresowania młodzieży w Kraju jako silne, gwałtowne zwrócenie się do polskości i duszy polskiej z jednoczesnym otwarciem oczu na istotę człowieka jako takiego. I to jest bardzo szczęśliwe, bo rozwiera na przyszłość szerokie możliwości dla umysłowości polskiej, czującej po polsku i to głęboko po polsku, ale przez tą polskość widzącej zagadnienia zasadnicze, wspólne wszystkim narodom.

Nie zdołano złamać duszy młodzieży polskiej i wiemy już, chociażby z wyboru książek, które czyta, że i na przyszłość nie wypaczą jej żadne wysiłki. Wiatr ze wschodu niesie wprawdzie zamieci śnieżne i mroki obcych poglądów, ale śniegi stopnieją w gorącości młodych serc, a mroki przebije jasny ogień świeżej i młodej myśli.

(at)

WIEDZA I POSTĘP

Od Redakcji:

Z dniem dzisiejszym otwieramy na łamach naszego pisma nową rubrykę p.t. „Wiedza i Postęp". Zadaniem jej będzie informowanie czytelników o rzeczywistym stanie nauk, stanie technologii i racjonalnej organizacji oraz o ich wpływie na rozwój warunków życia ludzkości.

W rubryce „Wiedza i Postęp" będziemy umieszczali krótkie informacje o zdobyczach nauk ścisłych i ich zastosowaniu w życiu. Czerpać je będziemy z autentycznych źródeł, oficjalnych publikacji różnych naukowych organizacji.

URAN

ZNACZENIE URANU W ROZWOJU LUDZKOŚCI

Z chwilą wyzwolenia przez człowieka energii z jądra atomu oraz zastosowania jej dla celów niszczenia, uran stał się najważniejszym surowcem strategicznym. Wydaje się jednak, że nie niszcząca energia bomby atomowej, lecz ujarzmiona energia jądra atomu oddana na usługi jej dysponenta — człowieka — wywrze zasadnicze zmiany w układzie sił politycznych na świecie oraz spowoduje trudne w chwili obecnej do przewidzenia przemiany społeczne i kulturalne w życiu ludzkości. Zainstalowana obecnie moc we wszystkich rodzajach przemysłu (średnio rzędu tysięcznych części kilowata na głowę mieszkańca ziemi) będzie mogła być zwiększona wielokrotnie. I to właśnie wpłynie na zwiększenie wytwórczości dóbr, których zapotrzebowanie, według praw ekonomii, jest nieograniczone. Zmieni się rola człowieka, podniesie się jego znaczenie w produkcji. Przestanie on być źródłem mechanicznej energii wytwarzanej przez jego mięśnie. Praca jego będzie wykonywana wysiłkiem mózgu, działaniem systemu nerwowego. Zmienią się również warunki bytowania ludzkości.

Sprawa posiadania zasobów uranu, jako jedynego dotychczas surowca stosowanego do produkowania energii jądrowej, stała się wobec tego przewodnią myślą polityki wszystkich mocarstw świata. Kto zapanuje nad jego złożami i będzie dysponował zespołem ludzi umiejących wykorzystać ukryte w tym metalu zasoby energii, ten będzie miał środki do zrealizowania wszystkich swych idei, swych zamiarów i celów. Będzie w stanie pokusić się o narzucenie swej woli całej ludzkości.

ŚWIATOWE ZASOBY URANU

Uran w stanie rodzimym znajduje się zwykle w towarzystwie radu i innych pierwiastków promieniotwórczych. Początkowo jedynym źródłem rud radowo —uranowych były ich kopalnie w Jachymowie w Czechach. W 1912 r. rad i uran zaczęto wydobywać w stanie Utah i Colorado z wanadonośnego piaskowca. Po odkryciu jednak bogatszych rud tych metali w Katandze (Kongo belgijskie) wydobywanie rud w U.S.A. stało się nieopłacalne. Od 1922 r. Katanga była głównym producentem rud radowych. W r. 1930 odkryto wielkie pokłady rud radowo - uranowych na wschodnim wybrzeżu jeziora Wielkiego Niedźwiedziego w Północnej Kanadzie. W ciągu pięciu pierwszych lat wydobywania (1933 — 37) otrzymano z zasobów tego rejonu 54 gr. radu. Odtąd Kanada stała się głównym dostawcą tego pierwiastka.

Mniejsze ilości rud radu i uranu były również wydobywane w Kornwalli, Australii, Portugalii, Rosji i innych krajach. Między innymi odkryto w ostatnich latach złoża tych rud na Śląsku. Zasobów tych złóż nie opublikowano. Jak można wnioskować z geologicznych formacji, nie mogą być one duże. Najważniejsze rudy radowo uranowe znadują się w żyłach mineralnych pochodzenia hydrotermicznego (Północna Kanada, Katanga, Kornwalia, Jachymowo i prawdopodobnie Śląsk), natomiast wanadonośny piaskowiec (Utah i Colorado), wanadonośny wapień (Fergana Z. S. R. R.) i pegmatyty (gatunek skał granitowych) zostały zakwalifikowane jako złoża mniej wartościowe.

Całkowita ilość wyprodukowanego do 1946 r. radu nie została dotychczas opublikowana. W rzeczywistości do 1925 r. wyprodukowano około 500 gr. radu, a możliwą rezerwę można ocenić na 1000 gr. Ponieważ przy produkowaniu 1 gr. radu otrzymuje się 3 tony uranu jako ubocznego produktu oczyszczania, więc należałoby przypuszczać, że ilość wydobytego uranu powinna wynosić około 1500 ton, a rezerwa około 3000 ton. Należy się jednak liczyć z tym, że rezerwa może być dużo większa.

Na podstawie dotychczasowych badań wydaje się, że pierwiastki promieniotwórcze (radioaktywne) są rozłożone w najbardziej zewnętrznej powłoce skorupy ziemskiej o grubości około 100 km. Powłoka ta składa się z 3 warstw: granitowej, bazaltowej i ultrabazaltowej.

Oceny średniej zawartości uranu w skorupie ziemskiej, w/g ostatnich badań, wyrażone w gramach uranu na 1 tonę skały przedstawiają się następująco:

Rodzaj skały	w g autora — w roku		
	Holmes 1937	Keevil 1938	Evans i Goodman 1941
granit	6.0 gr. ton	2.8 gr ton	3.0 ± 0.3 gr ton
bazalt	1.8 „	0.95 „	0.96 ± 0.11 „
ultrabazalt	1.5 „	0.95 „	—
osadowa	—	—	1.2 ± 0.1 „

Biorąc pod uwagę tylko najniższe oceny, można przyjąć, że w skorupie ziemskiej znaduje się średnio około 1 gr. uranu na 1 tonę pozostałych składników. Tego rodzaju złoża nie nadają się, przy dzisiejszym stanie techniki, do eksploatacji. Dużo większa koncentracja uranu znajduje się w późnych granitowych stopach, jak pegmatyty oraz w żyłach mineralnych uranu. Jest to tym spowodowane, że uran nie jest takim skałotwórczym ciałem jak krzem czy glin. Jedynie w pewnych wypadkach łączy się on z ziemiami rzadkimi (59 — 71) oraz torem (90), kolumbem (41) i tantalem (73), które, gromadząc się w erze archeozoicznej jako płyn w górnych warstwach, wytworzyły żyły hydrotermiczne lub skały narzutowe.

Jednakże ilość uranu w znanych złożach o koncentracji nadającej się obecnie do eksploatacji stanowi mniej niż milionową część całkowitych jego zasobów w skorupie ziemskiej.

Prof. H.D. Smyth natomiast ocenia średnią zawartość uranu w skorupie ziemskiej na 4 gr. tonę. — *)

LITERATURA

a) **Atomic Artillery and the Athomic Bomb** by J.K. Robertson F.R.S.C., London Macmillan & Co Ltd. 1945.

Praca ta stanowi poszerzone wydanie „Atomic Artillery" z 1938 r. tegoż autora. Jest to książka w ujęciu niematematycznym z dziedziny fizyki jądrowej i prac przygotowawczych do budowy bomby uranowej, przeznaczona dla niefachowców. Może być ona zalecona do przestudiowania politykom i wojskowym.

b) **„Atomic Energy"** by H.D. Smyth Chairman of Princedom University, Reprinted by H.M. Stationary Office, London 1945.

c) **„Atomic Energy for Military Purposes"** by H.D. Smyth, London, Oxford University Press 1946.

Jest to powiększone wydanie książki tegoż autora „Atomic Energy", wydane pod auspicjami rządu Stanów Zjednoczonych, jako oficjalne sprawozdanie o budowie bomby atomowej.

Obydwie książki H.D. Smytha podają wyczerpująco badania naukowe, planowanie produkcji oraz procesy technologiczne nad wykorzystaniem energii jądrowej dla celów przemysłowych i budowy bomby atomowej. Mimo niematematycznego ujęcia wszystkich problemów obie książki nie nadają się do czytania przez laików. Wymagają one pewnego przygotowania z dziedziny budowy materii i transmutacji pierwiastków (alchemii). W/g zdania autora wytworzono broń, której niszcząca siła przekracza wszelkie wyobrażenia". „Broń ta nie powstała jednak z szatańskiego natchnien

W perspektywie tygodnia

Walka o bazy strategiczne

Przekonanie optymistów, że Rosja Sowiecka zaczyna wycofywać się ze swoich planów imperialistycznych musiało ulec zachwianiu z chwilą ogłoszenia wiadomości o staraniach rosyjskich, podjętych w Norwegii, w celu uzyskania baz strategicznych w Archipelagu Spitsbergu na Oceanie Lodowatym. Na zasadzie międzynarodowej konwencji z roku 1920 Archipelag ten należy do Norwegii, która zobowiązała się utrzymywać go w stanie rozbrojenia.

W roku 1925 do konwencji tej przystąpiła Rosja Sowiecka. Innymi sygnatariuszami układu są: W. Brytania, St. Zjednoczone, Francja, Norwegia, Szwecja, Dania, Holandia, Włochy i Japonia. W wyniku ostatniej wojny Włochy i Japonia odpadły oczywiście jako partnerzy w układzie, natomiast wszystkie inne mocarstwa, a zwłaszcza W. Brytania i St. Zjednoczone, są więcej niż kiedykolwiek zainteresowane w układzie sił na obszarach lodowatych i w pobliżu Bieguna Północnego. Wskutek ogromnego rozwoju lotnictwa nad obszarami tymi urzechodzą najbliższe szlaki powietrzne między St. Zjedn. i Rosją. Ponadto istnieje przekonanie, że znajdująca się tam ziemia pokryta powłoką lodu zawiera ogromne bogactwa mineralne, a przede wszystkim uran.

Przypuszczenie o ukrytych skarbach pod biegunami jest tak powszechne, że ono prawdopodobnie stało się powodem wyścigu ośmiu różnych państw, a więc W. Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Australii, Rosji, Argentyny, Południowej Afryki, Chili i Norwegii do Bieguna Południowego, celem podzielenia się „zasobami tego „nowego kontynentu", jak twierdzono w prasie. Co prawda „Economist" dość sceptycznie zapatrywał się na celowość tych poszukiwań, utrzymując, że Antarktyda nie posiada zasobów mineralnych, a gdyby nawet miała, jak np. uran, ludzkość nie rozporządza dotychczas — zdaniem tego pisma — technicznymi sposobami wydobycia tych minerałów spod powłoki 11 tysięcy stóp lodu i w tamtejszych warunkach atmosferycznych.

Sceptyczne te uwagi nie powstrzymują, jak widzimy, narodów od poszukiwań. Walka o obszary przylegające do obu biegunów trwa i stanowi jedną z cech charakteryzujących współczesną epokę. Wystąpienie Rosji w sprawie Spitsbergu stawia też te sprawy na gruncie bardzo realnym i politycznym, poza fantazją i przygodą.

Rozmowy w sprawie Archipelagu rozpoczęły się między rządem sowieckim i rządem norweskim na wygnaniu jeszcze przy końcu 1944 roku. A z początkiem 1945 roku Rosja wysunęła sprawę rewizji układu międzynarodowego w sprawie Spitsbergu. W czasie ostatniego Zgromadzenia Ogólnego ONZ p. Mołotow wznowił na ten temat rozmowy z p. Lange, norweskim ministrem spraw zagranicznych. Rosjanie wysunęli wówczas twierdzenie, że układ międzynarodowy w sprawie Spitsbergu podpisały również mocarstwa, które były w wojnie ze sprzymierzonymi, a zatem nie może on nadal obowiązywać.

Rokowania między Rosją i Norwegią otoczone były dużą tajemnicą i zwłaszcza koła norweskie okazywały wymowną wstrzemięźliwość w tej sprawie. Bardzie rozmowne było radio sowieckie, które ostatnio doniosło, że doszło już do porozumienia w rokowaniach sowiecko-norweskich „na temat potrzeby wspólnej obrony Archipelagu Spitsbergu". Należałoby się zapytać, przed kim Archipelag ma być „wspólnie" broniony? Ale radio sowieckie i to wyjaśnia, twierdząc, że dotychczasowy układ międzynarodowy „całkowicie lekceważył potrzeby bezpieczeństwa Związku Sowieckiego na północy, a także poważne interesy gospodarcze Związku Sowieckiego".

Czytając to wyjaśnienie, trudno opędzić się wrażeniu, że użyto tu argumentów, które mogą posłużyć za precedens w sprawie Cieśnin Dardanelskich, gdyż i w tym wypadku Rosja Sowiecka żąda rewizji układu w Montreaux co do Dardaneli, domagając się przeprowadzenia w tej sprawie dwustronnych — z wyłączeniem innych partnerów — rokowań z Turcją, które miałyby na celu ustanowienie tzw. „wspólnej" rosyjsko-tureckiej obrony Cieśnin.

Z tych zatem również względów to, co się dzieje na Dalekiej Północy, jest wysoce interesujące i ważne. Prawdopodobnie pozostali sygnatariusze układu międzynarodowego w sprawie Spitsbergu nie będą mogli również i dlatego zachować się całkowicie biernie wobec wyniku rokowań rosyjsko-norweskich.

Król Transjordanii w Ankarze

Duże niezadowolenie w Moskwie wywołała wizyta króla Transjordanii Abdullaha w Ankarze. Oficjalne te odwiedziny doprowadziły do podpisania paktu przyjaźni między Turcją i Transjordanią oraz do wydania wspólnego oświadczenia, że w czasie narad w Ankarze omawiano zagadnienie utrzymania pokoju na Bliskim i Środkowym Wschodzie oraz sprawę wzajemnych stosunków między obu krajami.

Od dłuższego już czasu polityka turecka zmierza do zacieśnienia stosunków z krajami arabskimi. Niedawo Ankara podpisała szereg układów z Irakiem. Obecnie przyszła kolej na Transjordanię. Zarówno Irak jak i Transjordania rządzone są przez dynastię arabską Haszimitów, która w okresie poprzedniej wojny podniosła głośny „bunt na pustyni" przeciw panowaniu Cesarstwa Otomańskiego nad Arabami. Słynny Lawrence, brytyjski agent obdarzony genialną intuicją i fantazją, był tym, który reprezentował politykę swego kraju przy Husseinie, ówczesnym gubernatorze Hedżasu i głowie Haszimitów. Obecnie następcy Husseina rządzą w Iraku i Transjordanii.

Uchodzą oni ciągle za przedstawicieli kierunku probrytyjskiego wśród Arabów. Zacieśnianie stosunków między Irakiem i Transjordanią a Turcją posiada więc niewątpliwie swą wymowę, aczkolwiek nie świadczy jeszcze, by wszystkie kraje arabskie szły już za tym przykładem. Syria w dalszym ciągu odnosi się nieufnie do Turcji, a Arabia Saudyjska, której władca Ibn Saud wygnał swego czasu Haszimitów z Mekki, patrzy podejrzliwie na aktywność Iraku i Transjordanii i odnosi się nieufnie do planów Abdullaha zbudowania tzw. Wielkiej Syrii, która objęła by obecną Transjordanię wraz z Syrią właściwą i Libanem. Istnieje również pewna rywalizacja między Haszimitami a dworem egipskim.

Mimo to wizyta króla Transjordanii w Ankarze posiada swe znaczenie i stanowi niewątpliwie wstęp do nowego układu sił na Środkowym Wschodzie. Propaganda sowiecka nie ukrywa, że widzi w tym fakcie zarodek Bloku Wschodniego, i twierdzi, że ostrze tego bloku zwrócone jest przeciw Moskwie. Trudno się jednak dziwić, że państwa Środkowego Wschodu chcą się zabezpieczyć.

Powrót do Entente Cordiale

Wydarzeniem tygodnia stała się wizyta premiera francuskiego Leona Bluma w Londynie. Wizyta wypadła nagle, a wzbudziła tym większe wrażenie, że nastąpiła w przededniu dymisji rządu p. Bluma. Rząd brytyjski nadał odwiedzinom szczególnie serdeczny charakter, przysyłając do Paryża po premiera Francji samolot brytyjski i witając go z wielkim respektem, czemu dała wyraz również cała prasa londyńska.

Podróż posiada także znaczenie historyczne. P. Leon Blum jest pierwszym premierem Francji, który zjawił się w Londynie po roku 1940, kiedy polityka Vichy doprowadziła do zerwania trwającej od 35 lat tzw. „entente cordiale" francusko-angielskiej. Czyżbyśmy dziś do tej „entente cordiale" powracali?

Oficjalnym powodem wyjazdu p. Bluma do Londynu była sprawa dostarczenia większej ilości węgla dla Francji z Zagłębia Ruhry. Urzędowe koła londyńskie z góry oświadczyły, że w obecnych warunkach Anglia nie będzie mogła wypełnić tego życzenia Francji, albowiem sama cierpi na brak węgla. Mimo to wizyta doszła do skutku. Musiały być zatem inne i szersze przyczyny, które do niej doprowadziły.

Z pewnych wyjaśnień prasy londyńskiej, a zwłaszcza „Times'a" wynikałoby, że w czasie rozmów pp. Attlee i Bevina z p. Blumem zgodzono się, że „należy wzmocnić współpracę gospodarczą między Francją i W. Brytanią". P. Blum jednak wyraził przede wszystkim zaniepokojenie Francji z powodu kierunku brytyjskiej polityki gospodarczej w Niemczech, która według kół francuskich może prowadzić do ścisłego połączenia przemysłu niemieckiego z systemem gospodarczym brytyjskim przy pomocy socjalizacji gospodarki niemieckiej.

Zdaniem „Times'a", p. Attlee mógł uspokoić p. Bluma i zapewnić go, że „rząd brytyjski uważa udzielenie pomocy dla odbudowy gospodarki francuskiej za zasadniczy wkład do stabilizacji Europy". Rząd brytyjski nie posiada „żadnego planu zmierzającego do połączenia brytyjskiej i niemieckiej gospodarki i nie zamierza czynić niczego kosztem Francji". Rozmowy potoczyły się dalej na temat rozwoju handlu brytyjsko-francuskiego, przy czym miano uwzględnić sprawę ścisłego zespolenia gospodarki obu krajów.

Wynika stąd jednak, że rokowania posunęły się jeszcze dalej. Według „New York Herald Tribune" p. Blum miał wysunąć projekt brytyjsko-francuskiej unii celnej, a także sojuszu między obu krajami. Prasa brytyjska była bardziej powściągliwa w tych kwestiach. „Daily Telegraph" zaznaczył początkowo, że sprawa sojuszu francusko - brytyjskiego nie znajduje się na porządku obrad, ale już w numerze z dnia 15 stycznia br. donosił, że „możliwość sojuszu angielsko-francuskiego została wysunięta pod rozważania przez p. Bluma". Pismo dodawało, że w czasie rokowań, szczerze wyjaśniono, iż pragnieniem brytyjskim jest „współpracować z Francuzami i że rząd brytyjski uważa wzmocnienie i odbudowę gospodarki francuskiej za warunek zasadniczy dla europejskiej odbudowy".

„Times" jest bardziej dyskretny i twierdzi tylko, że rozmowy p. Bluma doprowadzą do podjęcia nowych rokowań gospodarczych w ramach anglo-francuskiego komitetu dla spraw finansowych i gospodarczych w Paryżu.

Tak zarysowane zacieśnienie współpracy francusko-angielskiej miałoby zasadnicze znaczenie dla rozwoju stosunków w Europie Zachodniej i stanowiłoby fundament nieodzowny dla organizacji tej Europy. Obecnie w stosunkach francusko-angielskich największe trudności wywoływała sprawa niemiecka. Usunięcie nieporozumień w tej sprawie byłoby doniosłe, a zbliżenie Francji do Anglii pozwoliłoby zapewne Londynowi przykładać mniejsze znaczenie do spraw niemieckich. Pozostaje tylko pytanie, czy to zbliżenie, zainaugurowane przez p. Bluma, będzie trwałe? Francuska Partia Socjalistyczna, której duchowym przewódcą jest p. Blum, posiada ze wszystkich stronnictw francuskich najsilniej zarysowaną orientację zachodnią i można by powiedzieć pro-angielską. Wszyscy jednak wiemy, że p. Blum ma w najbliższych dniach ustąpić, a każdy może się domyśleć, jak plany pogłębienia współpracy francusko-angielskiej przyjęte będą przez francuskich komunistów. Pewne światło na te sprawy rzuciło zaprzeczenie p. Bluma, jakoby Zw. Sowiecki złożył Francji propozycje w sprawie Niemiec. Miały one dotyczyć porozumienia francusko-sowieckiego w sprawie Ruhry. Ale czy Ruhra nie jest też bazą strategiczną? Walka o nowy układ sił trwa na wszystkich odcinkach.

P. S. W ostatniej chwili nadeszły wiadomości o wynikach wizyty p. Bluma w Londynie. Ich punktem zasadniczym jest zapowiedź zawarcia traktatu sojuszniczego między Francją i Anglią na podstawie art. 52 Karty Organizacji Narodowych Zjednoczonych. W oświadczeniach oficjalnych podkreślono, że traktat będzie wzorowany na układach sojuszniczych angielsko-sowieckim i francusko-sowieckim. Wszyscy jednak zdają sobie sprawę, że rozpoczyna się nowa era w stosunkach francusko-brytyjskich oraz, że nowy układ sił powstaje w Europie. Ambasador sowiecki w Paryżu, p. Bogomołow, któregc p. Blum przyjął przed odjazdem do Londynu, udał się natychmiast do Moskwy.

Po wizycie na Kremlu

„Observer" z dnia 12 stycznia br. zamieścił artykuł znanego publicysty p. Edwarda Crankshaw, uchodzącego za specjalistę spraw rosyjskich. Autor, pisząc o odwiedzinach marszałka Montgomery w Moskwie, przestrzega czytelników przed wyciąganiem zbyt daleko idących wniosków, z serdeczności, jaką otoczono na Kremlu naczelnego dowódcę sił brytyjskich. Skrzynka whisky — zauważa dowcipnie p. Crankshaw — nawet gdy jest wieziona osobiście przez marszałka, nie świadczy jeszcze, że w stosunkach sowiecko-brytyjskich zapanowało lato.

Istotnie przez cały czas pobytu marszałka Montgomery'ego nie ustawała kampania antybrytyjska w radio moskiewskim. „Daily Telegraph" z dnia 13 stycznia br. podał obszerną listę zarzutów i oskarżeń sowieckiej propagandy pod adresem Anglii. Otwiera tę listę skarga na „świadomie powolną demobilizację" armii brytyjskiej. Zarzut ten wysunięto dokładnie w dniu przyjazdu marszałka do Moskwy. „Część tej olbrzymiej armii — twierdził sprawozdawca radiowy — utrzymywana w interesie monopolistów brytyjskich, walczy z indonezyjskim narodem w obronie kolonialnych władców holenderskich oraz brytyjskich królów naftowych". Radio moskiewskie twierdziło dalej, jak to zauważał również „Observer", że w Indonezji znajduje się 100-tysięczna armia brytyjska, że podobne siły zgromadzone są w Grecji, oraz, że ostatnim dowodem perfidii brytyjskiej jest oszukiwanie niewinnych Duńczyków przez pchanie ich do jakichś ciemnych walk na najdalszym Wschodzie.

Inne zarzuty radia moskiewskiego dotyczyły według zestawienia „Daily Telegraph" okupacyjnej polityki brytyjskiej w Niemczech, gdzie rzekomo proces „denazyfikacji" w zachodnich strefach niemieckich został obecnie zatrzymany. Następnego dnia organ centralnego komitetu partii komunistycznej „Kultura i Życie" napadł na dziennik „Brytyjski Sprzymierzeniec" wydawany przez brytyjską ambasadę w Moskwie. Pismu temu zarzucono, że w artykułach swoich doradza czytelnikom, w jaki sposób można handlować z... zyskiem.

Znany periodyk sowiecki „Nowe Czasy" z dnia 1 stycznia br. zamieścił artykuł pochwalający „rewoltę" w Partii Pracy, wmawiając czytelnikom, że stawia sobie ona za zadanie „wyzwolenie Wielkiej Brytanii spod protekcji amerykańskiej". Natomiast oficjalna polityka brytyjska zmierza oczywiście do niczego innego, jak do „utworzenia bloku anglo-amerykańskiego oraz anglo-amerykańskiej hegemonii światowej". „Daily Telegraph" cytuje też artykuły „Izwiestii", które mają wykazać, jak strasznie uciemiężana jest ludność krajów „kapitalistycznych" i jak dobrze w gruncie rzeczy dzieje się obywatelom sowieckim. „Izwiestia" kończyły te wywody takim zdaniem: „Trudności z jakimi naród Związku Sowieckiego musi ciągle się jeszcze borykać są nieznaczne w porównaniu z trudnościami i ofiarami narzucanymi przez kapitalistycznych przewódców uciemiężonym masom".

W tych warunkach „Observer" zwraca uwagę, że znaczenie polityczne wizyty na Kremlu musi być sprowadzone do właściwych rozmiarów. Stwierdza on, że do chwili przyjęcia marszałka Montgomery przez generalissimusa Stalina prasa sowiecka zamieszczała o przebiegu wizyty tylko suche notatki. A nawet ocena podana w „Izwiestiach" przez gen. Galiatkinowa osiągnięć wojennych marszałka na pustyni afrykańskiej i w Ardenach „nie wywoływała wrażenia wielkości i znaczenia tych zwycięstw". Zdaniem p. Crankshaw trzeba, „uznać fakty" takie jakie one są. Według niego dwa tylko wielkie wiatry wieją na świecie: wschodni i zachodni. Różne lokalne zefirki nie mają zasadniczego wpływu na to zjawisko i dlatego, według niego, ani Rosjanie ani Brytyjczycy „nie mogą oczekiwać, by ta formalna wizyta przyjacielsko usposobionego żołnierza miała większy wpływ na stosunki między Wschodem i Zachodem".

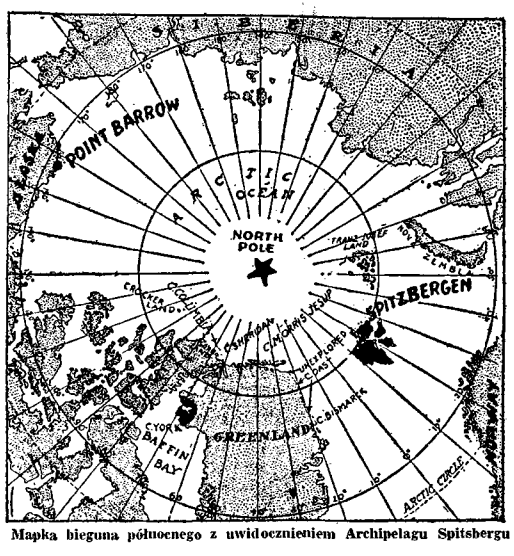

Mapka bieguna północnego z uwidocznieniem Archipelagu Spitsbergu

Przygotowanie traktatów z Niemcami i Austrią

Zgodnie z programem, ustalonym w Nowym Yorku, zebrała się w Londynie konferencja zastępców ministrów spraw zagranicznych czterech wielkich mocarstw celem poczynienia wstępnych przygotowań do konferencji tzw. „wielkiej czwórki", która ma zebrać się w Moskwie dnia 10 marca br. W Londynie będą również wysłuchani przedstawiciele mniejszych państw, które w czynny sposób przyczyniły się do pokonania Niemiec. Obrady konferencji londyńskiej będą tajne, dla prasy wydawane będą jedynie oficjalne komunikaty. Mimo to już na pierwszym zebraniu zarysowały się różnice poglądów.

Minister Bevin otwierając konferencję położył szczególny nacisk na traktat pokojowy z Austrią.

Zawarcie tego traktatu nie powinno nasuwać większych trudności, albowiem w zasadzie wszyscy są zgodni, że Austria ma być niepodległa w granicach z 1937 roku. Pretensje terytorialne Jugosławii nie są brane poważnie. Jedyną trudność nastręcza sprawa odszkodowań i stanowiska, jakie zajęła Rosja, która, powołując się na uchwały poczdamskie, zezwalające jej na konfiskowanie mienia niemieckiego w krajach okupowanych, podciągnęła pod pojęcia majątku niemieckiego wszystkie dobra, które Rzesza Niemiecka po zajęciu Austrii przepisała na rzecz skarbu niemieckiego. Na tej podstawie Rosja rozwinęła w swej strefie okupacyjnej w Austrii politykę po prostu rabunkową, zagarniając między innymi własność Towarzystwa Żeglugi na Dunaju, oraz pola naftowe w Zisterdorf. Mocarstwa zachodnie nie mogą się z tym zgodzić, uważając, że Austria ograbiona nie będzie zdolna do życia

Prasa brytyjska i amerykańska wielokrotnie podkreślała, że mocarstwa zachodnie nie mogą Austrii zasilać, a Rosja jej rabować. Prasa ta żąda równomiernego traktowania spraw austriackich we wszystkich strefach, a przede wszystkim jak najszybszego zakończenia okupacji tego kraju wycofania wszystkich obcych wojsk.

Rosja sowiecka wyraźnie zmierza do opóźnienia tej decyzji. Na obecnej konferencji londyńskiej taktyka ta znowu się zarysowała z chwilą, gdy delegat sowiecki p. Gusiew starał się skoncentrować całą uwagę konferencji na traktacie z Niemcami, a odsunąć sprawę austriacką na bok. Ostatecznie zdecydowano, że obie sprawy będą traktowane równomiernie.

W inauguracyjnym przemówieniu p. Bevin mówiąc o Austrii uczynił interesujący krok naprzód, wysuwając tezę o konieczności zapewnienia współpracy gospodarczej wszystkich narodów naddunajskich. „Jedną z podstaw pokoju, mówił, jest danie możliwości obszarowi naddunajskiemu zdrowej współpracy zarówno pod względem gospodarczym jak i politycznym". Istotnie nie wystarczy ogłosić niepodległość Austrii, trzeba dla niej stworzyć warunki życia, o ile ma ona zachować niezależność w stosunku do Niemiec. Te warunki życia Austria znaleźć może tylko we współpracy z krajami Europy Środkowej. Lecz kraje te znajdują się za żelazną kurtyną. Pełna realizacja tezy min. Bevina wymagałaby więc usunięcia tej kurtyny i wciągnięcia krajów naddunajskich do ogólnej współpracy międzynarodowej, co mogłoby nastąpić tylko przez danie tym krajom prawdziwej wolności.

Innym tematem pierwszych rozmów londyńskich była sprawa procedury. Australia znowu wystąpiła z żądaniem, by mniejsze narody były dopuszczone nie tylko do przedkładania swych punktów widzenia, ale i do ogólnej dyskusji. Oczywiście Rosja znowu była temu przeciwna i znowu W. Brytania, Stany Zjednoczone i Francja usiłowały choć częściowo uwzględnić punkt widzenia Australii.

Najbardziej skomplikowane zagadnienia wysuwa oczywiście traktat z Niemcami. We wstępnym przemówieniu p. Bevin zaznaczył, że opracowując traktat „nie należy uczynić niczego, co by pozwalało Niemcom stać się na nowo mocarstwem militarnym". W dalsze szczegóły nie wdawał się, natomiast prasa brytyjska poświęciła nieco uwagi zagadnieniu nowych granic Niemiec podkreślając, że wszyscy sąsiedzi Niemiec z wyjątkiem Danii wysunęli pewne postulaty terytorialne.

Szczególnie charakterystyczny był na ten temat artykuł „Times'a" omawiający między innymi postulaty polskie w sprawie granicy na Odrze i Nysie. Pismo stwierdzało na wstępie, że „jedynie przeludnienie Niemiec oraz jego następstwa, a nie żadna czułość dla sentymentów niemieckich musi kierować stosunkiem rządu brytyjskiego wobec najtrudniejszego żądanie ze wszystkich, a mianowicie żądania polskiego". Omówiwszy sytuację jaka wytworzyła się na ziemiach nadodrzańskich w związku z usuwaniem stamtąd Niemców, a osiedlaniem Polaków „Times" stwierdzał, że „istnieją potężne argumenty za przyjęciem tych faktów". „Proponowanie zmian choćby najlżejszych w granicy poczdamskiej mogłoby grozić rozłamem z Rosją, żądaniem rozpoczęcia ruchu ludności w odwrotnym kierunku, a co gorsze jeszcze proponowaniem czegoś, co zachodni sprzymierzeńcy nie mieliby możności sami przeprowadzić. Nie chodzi tu o wrażenie, jakie decyzje poczdamskie wywarły na opinii niemieckiej, i nie to musi skierować czujną uwagę na wielkie obciążenia, które z tego przeważnie wyniknęły. Zadanie polega na tym, by nie zapominając ani na chwilę o katastrofalnych następstwach wojny dla Polski oraz o jej niezbędnych potrzebach, zbadać gospodarcze skutki, jakie dla Niemiec pociągnęła utrata terytorium oraz deportacje, które jej towarzyszyły".

Dobrze się dzieje, że „Times" dostrzega „katastrofalne następstwa" ostatniej wojny dla Polski. Wyniknęły one z jednej strony z ograbienia Polski przez Niemców i wyniszczenia naszego narodu przez zachodniego okupanta, a z drugiej strony wskutek utraty terytoriów na wschodzie oraz masowych deportacji z tym związanych. Można zrozumieć dążenie do stworzenia warunków jakiej takiej egzystencji dla Niemców, ale przed uwzględnieniem postulatów niemieckich muszą być zaspokojone postulaty polskie. W przeciwnym razie wyniki tej wojny będą jeszcze bardziej katastrofalne dla nas, oraz nie Niemcy, ale Polska stałaby się krajem, płacącym wyłącznie za rozpętanie wojny przez Hitlera.

Inwazja na Rosję z... Interlaken

Pismo komunistyczne wychodzące w W. Brytanii „Daily Worker" zaniepokoiło się poważnie dziwnym dla niego zjawiskiem wyjazdu rzesz młodzieży brytyjskiej na sporty zimowe w Szwajcarii. „Daily Worker" widzi w tym fakcie wykonanie jakiegoś niezmiernie przebiegłego planu rządu brytyjskiego, przygotowującego w ten sposób narciarskie oddziały wojskowe, które mają dokonać inwazji na Rosję w ciągu zimy.

Socjalistyczna „Tribune" oczywiście wykpiwa mającenia nieprzytomnego pisma i doradza, by rozgorączkowane głowy jego redaktorów znalazły również pewne ukojenie w rzeźkim klimacie gór szwajcarskich. Gdyby jednak współpracownicy „Daily Workera" udali się do Szwajcarii, być może zauważyliby inne niebezpieczne zjawisko. Sport narciarski jest w tym kraju tak rozpowszechniony, że wszystkie biura i sklepy są zamykane w sobotę w południe i kto żyw wyjeżdża z nartami w góry. Prawdopodobnie dla redaktorów „Daily Workera" byłby to jednak nowy dowód, że jakaś międzynarodowa krucjata antysowiecka przygotowana jest przecież w Szwajcarii i nastąpi z takich miejscowości, jak Interlaken, Gstaad itd.

Sprawy polskie

Nota Rządu St. Zjednoczonych

Poniżej podajemy w wolnym tłumaczeniu tekst noty amerykańskiej wręczonej 7 stycznia br. ambasadorowi brytyjskiemu w Waszyngtonie, oraz dnia 5 stycznia rządowi sowieckiemu w Moskwie.

„Ekscelencjo,

„Rząd Stanów Zjednoczonych (mój rząd) jako sygnatariusz układów zawartych w Jałcie i Poczdamie, mając szczególnie na względzie te ustępy obu układów, które dotyczą utworzenia reprezentatywnego rządu w Polsce za pośrednictwem wolnych i niesfałszowanych wyborów, polecił mi poinformować Pana o trosce, z jaką przypatruje się działalności przedwyborczej Polskiego Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Rząd mój jest szczególnie zaniepokojony coraz częstszymi doniesieniami o zarządzeniach represyjnych, które Tymczasowy Rząd Polski uznał za właściwe zastosować przeciwko tym elementom demokratycznym w Polsce, które same nie przyłączyły się do stronnictw „bloku".

Według informacji otrzymywanych przez mój rząd z różnych źródeł miarodajnych, ta działalność represyjna Rządu Tymczasowego do tego stopnia przybrała na intensywności, że jeśli nie ustanie natychmiast, istnieje małe prawdopodobieństwo, aby wybory mogły się odbyć zgodnie z postanowieniami układu poczdamskiego, który mówi o wolnych i niesfałszowanych wyborach „opartych na zasadzie powszechnego i tajnego głosowania, w którym wszystkie partie demokratyczne i antyhitlerowskie mają mieć prawo do wzięcia udziału i wystawienia kandydatur".

NOTYFIKACJA SKARG MIKOŁAJCZYKA

W dniu 18 grudnia 1946 roku wicepremier Stanisław Mikołajczyk zwrócił się do ambasadora amerykańskiego w Warszawie z pismem, w którym zwraca uwagę na karygodne metody stosowane przez Rząd Tymczasowy przy odmawianiu swobody działalności Polskiemu Stronnictwu Ludowemu.

Ten komunikat podkreśla między innymi, że metody użyte przez rząd w jego wysiłkach do wyłączenia udziału Polskiego Stronnictwa Ludowego w wyborach obejmują aresztowania i morderstwa polityczne, przymusowe wciąganie członków Polskiego Stronnictwa Ludowego do partii politycznych „bloku", zwalnianie członków Polskiego Stronnictwa Ludowego z ich stanowisk, rewizje domowe, ataki dokonywane przez tajną policję i członków partii komunistycznej na lokale i zebrania partyjne Polskiego Stronnictwa Ludowego, zawieszanie i kasowanie przez władze rządowe zgromadzeń Polskiego Stronnictwa Ludowego oraz zawieszenie działalności Stronnictwa w 21 powiatach, zamykanie organów prasy partyjnej i ograniczanie kolportażu pism partyjnych oraz aresztowanie członków redakcji biuletynu stronnictwa i „Gazety Ludowej".

Miarodajne doniesienia z innych źródeł w Polsce służą na poparcie oskarżeń wysuniętych przez p. Mikołajczyka w wspomnianym komunikacie. Wiadomo, że kopie tego komunikatu zostały również dostarczone ambasadorom sowieckiemu i brytyjskiemu w Warszawie jako przedstawicielom dwóch innych państw jałtańskich.

ŚWIĘTOŚĆ TRAKTATU DOMAGA SIĘ WYKONANIA

Zdaniem mojego rządu, wchodzi tu w grę świętość układów międzynarodowych, zasada od której zależy zaprowadzenie i utrzymanie pokoju oraz panowanie sprawiedliwości i prawa. Zobowiązania dotyczące wyborów w Polsce przyjęte przez mój rząd w Jałcie i powtórzone w Poczdamie, razem z rządami sowieckim i brytyjskim, oraz zobowiązania przyjęte potem przez polski rząd i wielokrotnie ponawiane gwarantują przeprowadzenie wolnych i niesfałszowanych wyborów wyżej opisanego typu i w wyżej opisany sposób.

Nie ma znaczenia, że przedmiotem tego międzynarodowego układu są wybory w Polsce. Istotny fakt polega na tym, że stanowi on międzynarodowy układ, na podstawie którego działały wszystkie cztery odnośne narody. Dlatego rząd mój wierzy, że dla każdej z tych stron uczestniczących w układzie zaniechanie jak najenergiczniejszych wysiłków w celu dopilnowania jego właściwego wykonania stanowiłoby sprzeniewierzenie się najbardziej uroczystemu zobowiązaniu.

Z tego powodu, zdaniem mojego rządu, jest zarówno obowiązkiem jak i prawem trzech państw uczestniczących w układach jałtańskich i poczdamskich zwrócenie uwagi rządu polskiego w sposób jak najbardziej przyjazny, ale i jak najbardziej stanowczy, na niewypełnienie przez rząd polski swych zobowiązań.

PRZYPOMNIENIE BEZSKUTECZNYCH NAPOMNIEŃ

Rząd mój żałuje, że jego własne wysiłki zwrócone w tym kierunku nie doprowadziły do zmiany kursu, jaki Tymczasowy Rząd Polski prowadził w związku z przedwyborczą działalnością polityczną. Rząd mój uważa, że sprzeniewierzyłby się swoim obowiązkom, gdyby nie uczynił dalszych wysiłków przed wyborami w celu polepszenia warunków, w jakich pewne elementy demokratyczne polskiej ludności walczą w dążeniu do wzięcia uprawnionego udziału w narodowych wyborach.

Toteż zmierza on w niedalekiej przyszłości znów zwrócić się do rządu polskiego z przypomnieniem jego zobowiązań pozostających w związku z wyborami i wezwać go znowu do zagwarantowania tych warunków bezpieczeństwa, które umożliwią wszystkim stronnictwom demokratycznym i antyhitlerowskim wzięcie w pełni udziału w wyborach.

Chyba nie potrzebuję dodawać, że rząd mój zainteresowany jest tylko w dopilnowaniu, aby naród polski miał sposobność do wzięcia udziału w wolnych i niesfałszowanych wyborach i że rząd mój nie uważa, aby wyniki takich wyborów mogły obchodzić kogokolwiek innego, jak tylko sam naród polski.

Rząd mój ma nadzieję, że rząd brytyjski (lub ZSRR) jako uczestnik układów w Jałcie i Poczdamie przyłączy się sam do wystąpienia rządu amerykańskiego wobec Polskiego Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej.

Podobna deklaracja została równocześnie skierowana pod adresem rządu sowieckiego (rządu brytyjskiego).

Proszę przyjąć, Ekscelencjo, ponowne zapewnienie mego najwyższego poważania.

Nowy akt dramatu polskiego

Rosja sowiecka odrzuciła notę amerykańską w sprawie położenia w Polsce. Nota ta stwierdzała, że tymczasowy rząd jedności narodowej w Warszawie pogwałcił układy w Jałcie i Poczdamie w okresie kampanii wyborczej. Obecnie radio sowieckie rozpowszechniło treść odpowiedzi p. Mołotowa, według którego „tymczasowy rząd jedności narodowej w Warszawie uchyliłby swym obowiązkom wobec narodu, gdyby nie podjął zarządzeń przeciw „zbrodniczym elementom", by zapewnić „wolne i demokratyczne wybory". Rząd sowiecki nie widzi więc „żadnych motywów, które usprawiedliwiałyby interwencję sygnatariuszy układu w Jałcie i Poczdamie w sprawy wewnętrzne polskie."

Z noty tej wynika, że rząd sowiecki nie tylko nie zgadza się na interwencję w sprawy polskie wielkich mocarstw, które wzięły na siebie odpowiedzialność za stan, jaki się w Polsce wytworzył, ale, że Rosja sowiecka swym autorytetem pokrywa wszystko to, co się w Polsce dzieje. Nie jest to dla nas nowe, ale dobrze to zanotować i zapamiętać.

Przypuszczać należy, że w podobny sposób zareagował rząd sowiecki na interwencję ambasadora brytyjskiego w Moskwie Petersona, który zwrócił się do niego z propozycją omówienia sytuacji w Polsce.

Nie zamierzamy zgadywać, jakie dalsze kroki poczynią mocarstwa zachodnie po odrzuceniu ich pierwszych interwencji, należy wszakże przypuszczać, że logicznym następstwem tego faktu powinno być zwrócenie się ich do Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Pewne sugestie w tym kierunku zawarte są w „Daily Telegraph" z dnia 15 stycznia br. który jednocześnie wyrażał przypuszczenie, że W. Brytania nie zamierza mimo wszystko wycofywać swego ambasadora z Polski, choć być może, że gdyby to okazało się konieczne, W. Brytania nie będzie w Polsce reprezentowana przez pewien czas przez ambasadora. Wynikałoby z tego, że rząd londyński stworzyłby w tym wypadku dla Polski sytuację taką, jaka powstała w Hiszpanii po wycofaniu stamtąd ambasadora i po pozostawieniu tylko chargé d'affaires. Wszystko to są przypuszczenia, skoro jednocześnie „New York Herald Tribune" wyrażał zdanie, że jednak W. Brytania cofnie uznanie dla tego rządu polskiego, który by powstał w wyniku obecnych wyborów, o ile by uczciwsze i bardziej demokratyczne metody nie zostały w ostatniej chwili zastosowane.

Napięcia, jakie wytworzyły się w stosunkach między Londynem a Warszawą, wzmogły się bardzo poważnie wskutek niebywałej w annałach dyplomatycznych próby skompromitowania ambasadora brytyjskiego w Warszawie p. Cavendish-Bentincka w pokazowym procesie Ksawerego Grocholskiego, oskarżonego o działalność „szpiegowską" na rzecz „obcej ambasady". W toku rozprawy ujawniono, że tym obcym ambasadorem jest ambasador brytyjski, „osobisty przyjaciel" p. Grocholskiego. Proces ten, który zakończył się skazaniem na śmierć Grocholskiego, Waldemara Baczaka i dra Witolda Halickiego, stał się jeszcze jednym dowodem terroru i nieprawdopodobnych stosunków, które wytworzyły się w Polsce. Miał on niewątpliwie na celu z jednej strony skompromitowanie w przededniu wyborów ambasady brytyjskiej, a po drugie zastraszenie Polaków przed utrzymywaniem stosunków z cudzoziemcami, a zwłaszcza z Brytyjczykami.

Rząd brytyjski wezwał ambasadora Cavendisha-Bentincka do Londynu celem odbycia z nim narady. Ambasador był przyjęty przez p. Bevina, któremu przedstawił sytuację w Polsce oraz swój punkt widzenia na proces Grocholskiego. Prasa brytyjska doniosła, że ambasador powraca do Warszawy, tak by mógł być obecny w okresie niedzielnych wyborów w Polsce, i złożyć następnie sprawozdanie o wyborach brytyjskiemu ministrowi spraw zagranicznych. Zdaniem „Daily Telegraph", sprawozdanie to może posłużyć za podstawę wniesienia całej sprawy do Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Najbliższe zatem dni mogą przynieść wiele ważnych wydarzeń w sprawach polskich. A tymczasem w Kraju odbywają się „wybory". Według p. Mikołajczyka, plecu znanych przewódców jego stronnictwa zmarło wskutek bicia i tortur, zadawanych przez „bezpiekę" i popleczników tymczasowego rządu jedności narodowej. Już 135 kandydatów PSL na posłów znajduje się w więzieniu, 230 kandydatów skreślono z list wyborczych, w 10 okręgach listy PSL odrzucono, na ulicach Warszawy oraz innych miast tzw. bezpieka bije chłopców, roznoszących gazety i ulotki PSL, aresztowania zwolenników tego stronnictwa przybrały charakter masowy. Sprawa istotnie dojrzała do decyzji w skali międzynarodowej.

Z HUMORU BRYTYJSKIEGO: Monty w Moskwie

Marszałek Montgomery drodze do Moskwy zatrzymał się w Berlinie, gdzie kupił flakon perfum francuskich pn. „Persuasion"

Monarchia w której rządzą komuniści

Paryż, w styczniu

Cała niemal dwuletnia era rządów p. Grozy od marca 1945 do listopada 1946 była okresem przygotowań do wyborów parlamentarnych, które stanowiły konieczną dekorację demokratyczną, tym konieczniejszą, że trzeba było utrzymać bodaj pozory wobec prób ingerencji anglo-amerykańskiej w sprawy naddunajskie i spełnić warunki ugody w Moskwie i Bukareszcie, zawierającej „gwarancje" systemu demokratycznego dla „nowej" Rumunii.

Ugoda ta, której wstęp stanowił jeden z punktów uchwał konferencji moskiewskiej z grudnia 1945, i idące za tym rokowania w Bukareszcie ze stycznia 1946, z udziałem ambasadorów Harrimana, Kerra i komisarza Wyszyńskiego, odegrała podobną rolę w stosunku do nieszczęsnej Rumunii, co układy jałtańskie wobec Polski, z tą chyba różnicą, że Rumunii nie pozbawiono 48% jej terytorium narodowego.

O istotnym znaczeniu rękojmi, które otrzymała opozycja rumuńska, w wyniku narad moskiewsko - bukareszteńskich, pisaliśmy już w jednej z poprzednich korespondencji; praktyka tych rękojmi dla Polski działa w zupełnie podobny sposób, z tą tylko może różnicą, iż w Rumunii uznano teoretycznie prawowitość istnienia obu „historycznych" partii opozycyjnych, narodowo-liberalnej i narodowo-chłopskiej, gdy w Polsce z góry pozbawiono głosu dawno istniejące liczne stronnictwa, jak np. Stronnictwo Narodowe, i PPS (gdyż to, co powstało w Polsce, trudno jest uważać za dalszy ciąg starej Polskiej Partii Socjalistycznej).

Z krajów okupowanych przez Sowiety Polska i Rumunia były najbrudniejszymi „orzechami do zgryzienia". Większość Czechów oddała bez sprzeciwu swoje głosy na partię komunistyczną, tak jak pracowała w okresie okupacji niemieckiej na rzecz machiny wojennej III Rzeszy pod kierownictwem następcy i poprzednika prezydenta Benesza, p. Hachy. W Serbii opozycja polityczna przeciw systemowi Tito nie przejawiała się prawie zupełnie. Jedynym niemal jej wyrazem była akcja gen. Michajłowicza, którą śmierć jej przywódcy osłabiła zapewne niezmiernie. W Bułgarii opozycja polityczna wyraziła się o wiele silniej, została jednak osłabiona i utrzymana w ryzach przy pomocy bezwzględnego terroru stosowanego przez reżym Dymitrowa - Gieorgiewa. Na Węgrzech wreszcie, których przykład jest szczególnie jaskrawy, doszła do władzy opozycja Związku Drobnych Rolników na to chyba, aby wykazać zupełną bezsilność w rządzeniu krajem znajdującym się pod przemożnym wpływem nie tylko własnych komunistów, ale i niezmiernie licznych na Węgrzech sowieckich wojsk okupacyjnych.

Najpoważniejsze siły opozycyjne znalazły się w Polsce i w Rumunii. Tym się tłumaczy przede wszystkim fakt, że gdy uchwały jałtańskie z 12 lutego 1945 mówiły o najszybszym przeprowadzeniu wyborów w Polsce, wybory te odbywają się niemal dokładnie w dwa lata po „historycznej" konferencji w Jałcie. Nieco szybciej załatwiono się z wyborami rumuńskimi. Trzeba było około roku (konferencja moskiewska, jak stwierdziliśmy, odbyła się w grudniu 1945), aby uporać się z wyborami w Rumunii.

Podczas gdy w Polsce system komunistyczny miał ułatwione zadanie, gdyż po usunięciu władz okupacyjnych narzucono częściowo już przygotowany w Moskwie aparat komunistyczny, w Rumunii dokonać musiano dość powolnie przeprowadzonej, ale za to gruntownej czystki całego aparatu administracyjnego, policyjnego, w armii, w sądownictwie i w szkolnictwie. Prócz tego Rumunia była jeszcze królestwem z pozornym młodym (niedawno ukończył 25 lat) królem Michałem, jedną z głównych sprężyn przewrotu z sierpnia 1944. Monarchia w Rumunii była niewątpliwie popularniejsza niż np. we Włoszech, Jugosławii, lub tym bardziej Bułgarii. Dlatego też komuniści, którzy w pierwszym okresie próbowali już ataków na króla w prasie i w uchwałach partyjnych (zwłaszcza w okresie styczeń — luty 1945), zaniechali tej taktyki i usiłują zasłaniać się zgodą królewską i pochodzącym stąd „legalizmem" rządów Grozy.

Z tych wszystkich powodów „głajchszaltowanie" polityczne wszystkich dziedzin życia państwowego w Rumunii miało charakter powolniejszy i na ogół mniej bezwzględny niż we wszystkich innych krajach okupowanych przez Rosję (z wyjątkiem jednej Czechosłowacji).

Pierwszą dziedziną, którą najdokładniej poddano wpływom partii komunistycznej, była administracja państwowa. Już w pierwszych tygodniach istnienia obecnego gabinetu usunięto wszystkich prefektów (stanowisko mniej więcej równorzędne ze stanowiskiem wojewodów polskich z tym, że prefektura jest jednostką administracyjną o wiele mniejszą — ogółem istnieją 72 prefektury w Rumunii). Nastąpił teoretyczny podział poszczególnych prefektur pomiędzy partie wchodzące w skład koalicji. Liczba prefektur jednak pozostawiona socjal-demokracji, partii narodowo-chłopskiej (secesja p. Alexandrescu) i liberałom z grupy Tatarescu była znikoma. Tak np. liberalowie Tatarescu posiadali 4 prefektury na ogólną ilość 72. Tam gdzie prefekt uchodził za niedostatecznie pewnego, kontrolowali go ściśle przedstawiciele zależnego wprost od centrali aparatu bezpieczeństwa, t.zw. siguranzy, znajdujący się bardzo pewnie w rękach komunistów. Policja i żandarmeria zostały w praktyce podporządkowane rozbudowanej na terenie całego kraju bojówce, zwanej „obrona patriotyczna" (Apararea Patriotica). Czystka w policji odbywa się nieustannie, ministerstwo spraw wewnętrznych wychodzi bowiem z założenia, iż policja, wciąż jeszcze, nie jest dostatecznie pewnym i sprawnym aparatem w rękach rządu.

W ostatnim zwłaszcza półroczu dokonano ogromnych spustoszeń w aparacie oficerskim. Około 11.000 oficerów, wyłącznie pod kątem widzenia politycznym, spensjonowano „stosując jak najbardziej bezwzględne przepisy pod kątem widzenia zmniejszenia względnie pozbawienia emerytur. Armia rumuńska odczuwa obecnie ogromny brak kadr oficerskich, nowe nominacje bowiem opóźniane są z braku dostatecznie wykształconych „partyjnie" oficerów.

Bardziej powolna, ale niemniej systematyczna czystka objęła także sądownictwo rumuńskie. Wobec trudności zastąpienia starych kadr, które ujawniły silny opór przeciw upolitycznieniu sądownictwa, wprowadzono szereg dekretów, tworzących sądy przysięgłych, dobierane z czysto politycznego punktu widzenia. Sądownictwo rumuńskie jest obiektem stałych napaści ze strony prasy komunistycznej. Minister sprawiedliwości, komunista Patrascanu, który był także pierwszym w gabinecie utworzonym po przewrocie z 23 sierpnia 1944, uważany jest przez Moskwę za salonowego komunistę, który stosuje niedostatecznie ostre metody wobec „sabotażu" kadr sądowych. Jest w każdym razie faktem, że jak dotychczas w procesach „kolaboracjonistów" nie zastosowano tak krwawych metod jak np. w Jugosławii, zwłaszcza zaś w Bułgarii, a nawet we Francji (przeszło 9.000 wyroków śmierci). Dopiero proces Antonescu był pierwszym procesem kolaboracjonistów, w którym zapadły wyroki śmierci następnie wykonane. W jednym ze swych wywiadów prasowych premier Groza usiłował wyciągnąć korzyści polityczne dla swego rządu z postawy sądownictwa rumuńskiego i króla Michała stosującego bardzo szeroko prawo łaski; premier rumuński stwierdzał: „przeprowadzając rewolucję ekonomiczną w kraju zacofanym nie uroniliśmy ani jednej kropli krwi".

Najpowolniej dokonywa się czystka w aparacie oświatowym. Minister oświaty Wojtec broni się najwidoczniej przed całkowitą dezorganizacją szkolnictwa zwłaszcza niższego i średniego przez stosowanie w nim rugów politycznych. Jedynie powierzchownemu dość skomunizowaniu uległy wyższe uczelnie, gdzie niemal powszechnie mianowani zostali rektorzy komunistyczni. Tam, gdzie dokonano wyboru, (chodzi zaledwie o 1 — 2 uczelnie) zostali wybrani rektorzy niezależni.

Król, zachowuje formalnie swoje prerogatywy, sytuacja jego jest jednak niezmiernie trudna. Już w czasie przesilenia w dniu 6 marca 1945 ze strony ówczesnego wicepremiera Grozy padła wyraźna zapowiedź, iż o ile król nie powierzy mu misji utworzenia rządu, to przyjmie on władzę z rąk zgromadzenia ludowego na placu królewskim. W rocznicę przewrotu, w dniu 23 sierpnia 1945, król udzielił dymisji rządowi Grozy. Rząd pozostał jednak nielegalnie u władzy, co spowodowało słynny „strajk królewski", gdy król Michał odmawiał podpisywania dekretów rządu, wytwarzając w ten sposób długotrwały stan ex-lex. Dopiero kompromis, który nastąpił po decyzjach konferencji moskiewskiej w styczniu 1946, załagodził częściowo ten stan rzeczy.

Prasa opozycyjna w Rumunii ulegała szczególnym prześladowaniom. Rozpoczęły się one jeszcze w okresie rządów koalicyjnych, gdy dzienniki opozycyjne formalnie były jeszcze organami partii rządzącej.

Prześladowania te odbywały się w formie bezprzykładnej nagonki na wybitniejszych dziennikarzy opozycji, zwłaszcza narodowo-chłopskiej, pod różnymi pretekstami.

Cenzura komisji międzyalianckiej, w gruncie rzeczy czysto sowieckiej, stosowała zupełnie absurdalną kontrolę. Znany był m.in. wypadek aresztowania jednego z dziennikarzy opozycji, p. Romanosa, i zawieszenia jego pisma, za spokojnie napisany artykuł, w którym stwierdzał, iż nie tylko armia czerwona, ale i wojsko rumuńskie ma zasługę uwolnienia Rumunii i jej stolicy od armii niemieckich. Uznano to za „obrazę armii czerwonej"!

Na szeroką skalę zastosowano już wkrótce po przewrocie cenzurę zecerską ukazujących się artykułów. Każda polemika ze stanowiskiem partii komunistycznej mogła być „skonfiskowana" przez odmowę terroryzowanych z kolei zecerów złożenia artykułu do druku.

Kilkakrotnie posunięto się tak daleko, iż zecerzy, wbrew redakcji, włamywali w ostatniej chwili artykuł najzupełniej sprzeczny z tendencjami politycznymi redaktorów. W ten sposób w numerze „Dreptea" (Sprawiedliwość), organie partyjnym narodowo - chłopskim, znalazła się raz obelżywa i brutalna napaść na przywódcę partii Juliu Maniu.

Wkrótce po utworzeniu rządu Grozy zawieszono wprost wszystkie dzienniki opozycyjne.

Dopiero kompromis moskiewsko - bukareszteński ze stycznia 1946 przywrócił istnienie dwóch organów opozycji (Dreptatea i Liberalul), które poddano wszystkich formom skrępowań, jakie stosowane są do prasy opozycyjnej, także i w Polsce.

Ostatnim aktem „przygotowującym" „wybory" było ogłoszenie przez rząd ordynacji wyborczej. Przeciwko jej przepisom bezskutecznie protestowały partie opozycyjne. Podobnie jak w Polsce postanowiono zapewnić sobie większość głównie przez następujące dwa uproszczenia: usunięcie przedstawicieli opozycji i jednostek niezależnych od udziału w komisjach wyborczych kontrolujących liczbę głosów i zawieszając względnie osłabiając tajność aktu wyborczego. Ostatni ten cel osiągnięto przede wszystkim przez techniczne warunki głosowania, i wprowadzenie przepisów do ordynacji, iż w razie „omyłkowego" rozdarcia koperty przez przewodniczącego komisji, akt głosowania winien być powtórzony. Naciski wszelkiego rodzaju i terror miały dokonać reszty. Atmosfera terroru doszła do punktu kulminacyjnego w ostatnich 2 — 3 miesiącach przed głosowaniem.

W wystosowanym do międzyalianckiej komisji kontrolnej w Bukareszcie liście Iuliu Maniu z dnia 15 sierpnia 1946 wyliczone są ze szczegółami wypadki 11 napadów na wiece i zgromadzenia partii narodowo-chłopskiej zaledwie w okresie pierwszych 2 tygodni sierpnia. Zajścia te miały na tyle gwałtowny charakter, iż w tym okresie rannych zostało kilkudziesięciu uczestników zebrań partii narodowo-chłopskiej. M.in. w dniu 1 sierpnia uległa poważnemu zniszczeniu drukarnia jedynego dziennika partii. Charakterystycznymi dla wytworzonych stosunków były wypadki z 9 siernia b.r. w miasteczku Pitesti. Władze partii narodowo-chłopskiej uprzedzone o przygotowywanym napadzie na zgromadzenie, które się miało odbyć w tym mieście, wydelegowały swego sekretarza generalnego, byłego ministra spraw wewnętrznych prof. Penescu do ministra spraw wewnętrznych Georgescu - Teohari (komunisty) z żądaniem zapewnienia bezpieczeństwa zgromadzeniu. Minister dał jak najbardziej uspakajające wyjaśnienia, mimo to dnia następnego zgromadzenie partii uległo brutalnemu napadowi. Rannych, przeważnie ciężko, zostało około 20 osób. Sam p. Penescu, który przewodniczył zgromadzeniu ranny został ciężko, w głowę, kark i nogi i w ostatniej niemal chwili wyrwany z rąk napastników. Jego sekretarz, p. Michail, ciężko ranny w głowę, zmarł na miejscu. W tych warunkach odbyły się w dniu 19 listopada wybory, które przyniosły blokowi rządowemu 349 mandatów. Partia narodowo - chłopska, przeciwko której skierowany był szczególnie brutalny atak, uzyskała 32 mandaty. Trzecie miejsce zajęła unia węgierska z 29 mandatami. Nikłe ilości głosów otrzymała kolejna secesja partii narodowo-chłopskiej, kierowana przez b. ministra Lupu, i partia narodowo-liberalna, której leaderem był Constantin Bratianu.

Przeprowadzenie analizy tych wyników jest całkowicie zbyteczne. Dość przypomnieć tu cytowane w jednej z poprzednich moich korespondencji oświadczenie reprezentującego partię narodowo-liberalną ministra Romniceanu, iż ministerstwo spraw wewnętrznych przygotowało w ten sposób wybory, że wynik ich w każdym okręgu był z góry mniej więcej określony.

Zaszło zresztą zjawisko identyczne co i przy referendum czerwcowym w Polsce. Biuletyny wyborcze zostały wprost sfałszowane w ten sposób, że odwrócono w nich głosowanie. Według obliczeń sztabu partyjnego p. Mikołajczyka, padło około 80% nie w odpowiedzi na trzecie pytanie, gdy statystyka wyborcza wykazała tych głosów niewiele ponad 20%. Nawet cyfry w Rumunii są podobne. Do 70% głosów, które uzyskała partia rządowa, należałoby bowiem doliczyć jeszcze głosy zmontowanej przez rząd Unii Węgierskiej i ewentualnie głosy secesji narodowo-chłopskiej p. Lupu, polityka siedzącego na 2 stołkach, któremu pozwolono wystawić listę jedynie w celu stworzenia dywersji wobec partii p. Maniu dla tych wyborców, którzy mimo wszystko nie chcieli zdecydować się na oddanie głosów komunistycznemu blokowi rządowemu.

Nie ma też znaczenia podział głosów wewnątrz listy rządowej. Składa się formalnie z 6 partii czy grup politycznych, wszystko jednak zostało przewidziane w ten sposób, aby właściwa partia komunistyczna rozporządzała nieskrępowaną większością w parlamencie.

W taki to sposób system komunistyczny w Rumunii może twierdzić, że został także i z punktu widzenia konstytucyjnego ulegalizowany. Taktyka anglo-amerykańska polegała na ponawianiu nieustannych not, które nie wywierały żadnego wrażenia ani na p. Groza, ani na jego ministrze spraw wewnętrznych.

Tym bardziej nie przejmowali się pół - urzędowymi oświadczeniami mocarstw anglosaskich, iż wybory nie odbyły się w ramach i warunkach przewidzianych przez kompromis moskiewski, zwłaszcza, iż za oświadczeniami tymi nie poszło nawet zerwanie stosunków dyplomatycznych z komunistycznym rządem rumuńskim.

Celowe i systematyczne niszczenie wszelkiej opozycji w Rumunii będzie niewątpliwie trwało. Obie partie opozycyjne, narodowo-chłopska i narodowo-liberalna, uznały, iż w warunkach obecnych bezcelowe jest nawet utrzymywanie dotychczasowych obserwatorów w rządzie Romniceanu i Hateghianu. Nie należy, jak się zdaje, liczyć się ze zbyt gwałtownym zaostrzeniem systemu w Rumunii. Na Kremlu uznano najwidoczniej, iż Rosja sowiecka ma jeszcze dosyć czasu, aby sowietyzację Rumunii przeprowadzać nieco powolniejszymi etapami. Na tendencję tę wskazuje m.in. to, iż rząd p. Grozy, który tym razem „zgodnie z obyczajami parlamentarnymi" podał się do dymisji, utworzony został ponownie przez leadera „frontu chłopskiego" w dalszym ciągu posiada w swym gronie narodowo-liberalną secesję premiera Tatarescu a sam p. Tatarescu nadal piastuje stanowisko wice-premiera i ministra spraw zagranicznych.

Jedynie wyborca rumuński, który jeśli był naiwny, ze zdziwieniem widział, iż jego kartka wyborcy zmieniła swoją zawartość między momentem oddawania i wkładania do urny i obliczania głosów, może sobie powtórzyć popularne ostatnie powiedzenie w kawiarniach bukareszteńskich: „Era mai bine, când era mai rau", co mniej więcej znaczy po polsku: „było (mimo wszystko) lepiej, kiedy było tak źle".

GAMMA

Rumuński król Michał I.

ABONAMENT „ORŁA BIAŁEGO"

W celu zaabonowania „Orła Białego" w W. Brytanii wystarczy wyciąć niniejszy kupon i po wypełnieniu przesłać w kopercie pod adresem: Gryf Publications LTD, 59/61 Hatton Garden, London E. C. 1.

Należność za prenumeratę z przesyłką pocztową miesięcznie 2 sh 6 d, kwartalnie 7 d, rocznie 25 sh prosimy załączać w Postal Orderach, Money Orderach lub czekiem.

Dla uniknięcia pomyłek prosimy o czytelne wypełnienie kuponu.

Gryf Publications LTD, 59/61 Hatton Garden, London E. C. 1.

Proszę o przysłanie pod adresem . . . . . .

Imię i nazwisko

Dokładny adres . . . . . .

urząd pocztowy

. . . . . .

stacja kolejowa

. . . . egzemplarzy tygodnika „Orzeł Biały", poczynając od dnia . . . . . .

ilość

Należność za okres 1 miesiąca — 3 miesięcy — 1 roku (niepotrzebne skreślić) załączam

Dn. 1947

. . . . . .

podpis zamawiającego

Przegląd gospodarczy

TENNENBAUMA „BILANS HANDLOWY"

Wobec śmierci Henryka Tennebauma zamierzałem przypomnieć społeczeństwu polskiemu jego pomnikowe dzieło: **„Bilans handlowy Królestwa Polskiego".** Dzieło to, rezultat iście benedyktyńskiej pracy polskiego ekonomisty, wyciskającego prawdę z opublikowanych i nieopublikowanych statystyk rosyjskich o obrotach Królestwa Polskiego z jednej strony z Cesarstwem rosyjskim, a z drugiej strony z Europą, dzieło palącej aktualności ze względu na obecną fazę stosunków gospodarczych z Sowietami jest atoli w największej bibliotece angielskiej nieobecne.

Jeśli tylko znajdziemy egzemplarz, albo ktoś życzliwy nam go użyczy, poświęcimy tej pracy obszerny artykuł.

JESZCZE WĘGIEL I NAFTA

Sytuacja węglowa z dnia na dzień się pogarsza w Zjednoczonym Królestwie. Pisma codzienne są pełne wiadomości o wielkich zakładach przemysłowych ograniczających ruch i o elektrowniach zmniejszających prąd. Równocześnie, co jest wysoce charakterystyczne dla Anglików, robotnicy już wzięli na kieł. Za nic nie chcą dopuścić, aby po upaństwowieniu kopalń produkcja zmalała i rzeczywiście w porównaniu z zeszłym rokiem, zwyżki produkcji wynoszą po kilkaset tysięcy ton tygodniowo. Jedno z pism popołudniowych ogłosiło nawet, że w jednym z okręgów 80.000 robotników wydobyło 100.000 ton i stworzyło rekord. Przypominamy, że przeciętna 1250 kg. rocznie jest znacznie niższą od stałego przecięcia w Polsce (1.839 kg.) i nie wiele przewyższa przedwojenne ogólne wydobycie w Anglii (1.196 kg.). O Stanach lepiej nie mówmy. Kto zwycięży? Wiele zależy od pogody.

Po Londynie krąży dowcip, że kiedy minister skarbu Dalton witał powracającego z Ameryki Bevina zapytał go „Jakie nowiny ze Stanów?" Bevin odpowiedział: „Amerykanie uważają, że olej skalny jest gęstszy od wódki". „Tak jest. Tym razem mają rację. Uściśnij prawicę stary druhu".

ROSNĄCA POTĘGA KANADY

W Ottawie odbyła się znamienna uroczystość wręczenia przez premiera Mac Kenzie King'a pierwszych 16 paszportów brytyjskich z dopisem „Obywatel Kanady".

Na 120-tym dorocznym zgromadzeniu „Bank of Montréal", prezes skonstatował, że dochód banku wynosił w roku ostatnim 10,8 milionów dolarów, tj. o 4 i pół miliona więcej, niż w roku poprzednim. Kanadyjskie banki „Królewski" i „Handlowy" mają wyniki podobne i akcje ich zwyżkowały w ostatnim roku w Londynie o [illegible] funtów.

Politycznie ma Kanada sytuację jedyną na świecie. Jest ogniwem łączącym Anglię, Stany Zjednoczone i Francję. Gospodarczo poza bogactwami rolnymi i leśnymi i rybołóstwem produkuje między innymi 80 proc. niklu i 94 proc. kobaltu całego świata. Posiada również największą kopalnię uranu w Eldorado.

O JEDNOŚĆ EUROPY

Kapitalne przemówienie wygłosił min. Kleffens w Nowym Yorku w Holenderskiej Izbie Handlowej. Z przemówieniem tym solidarność zgłosili inni ministrowie holenderscy, a także Belgowie. Oto wyjątki:

„W obecnych warunkach sumaryczny wydatek Stanów Zjednoczonych na obszar amerykańskiej okupacji dosięga rocznie 900 milionów dolarów — w tym 200 milionów poza kosztem okupacji. „Zjednoczone Królestwo wydaje na niewojskowe cele 400 milionów dolarów.

„Wartość wywozu ze strefy amerykańskiej po dziś dzień wynosi około 6 milionów dol.". „Z tego Stany otrzymały dwa i ćwierć miliona głównie w chmielu. To prawie wszystko."

„Wymiana towarów i usług między Niemcami i Holandią stała się niemożliwa na skutek zarządzeń władz alianckich."

„Niemcy stanowiły istotny rynek zbytu dla eksportu holenderskiego i Niemcy były ważnym dostawcą holenderskiego przemysłu a mianowicie maszyn, części zapasowych, urządzeń itd."

„Dostanie się do Niemiec jest tak utrudnione przez alianckie władze wojskowe, że holenderscy właściciele nie mogą odwiedzać swoich własnych fabryk; fabrykanci nie mogą się skontaktować z producentami półfabrykatów, surowców, albo istotnych części swoich urządzeń fabrycznych."

„Wiele zakładów przemysłowych Holandii pracuje na maszynach sprowadzonych z Niemiec, które się zużywają, a nie mogą być naprawiane." „Brak napraw powoduje dalsze silne zużycie do punktu kiedy produkcja będzie musiała być ograniczona albo całkowicie wstrzymana."

„Handel z Niemcami musi być otwarty dla wszystkich, a specjalnie dla ich sąsiadów.

„Na pierwszym miejscu żądamy, aby nasze porty, podobnie jak porty w Belgii, otrzymały godziwy udział w wodnym transporcie z Niemiec i do Niemiec i aby obroty przez Hamburg i Bremę nie były mocniej uprzywilejowane przez naszych aliantów, niż były przez samych Niemców."

„Jako alianci nie możemy przyjąć takiego traktowania, a, jeżeli są jakie trudności do pokonania, to uczynimy wszystko co można, aby je przezwyciężyć."

Dawno już Amerykanie i Anglicy nie słyszeli takiej szczerej a mocnej mowy. Mowa ta była istotnie na czasie, boć Anglicy już sobie obliczyli, że Niemcy kosztować ich będą szylinga dodatkowo w podatku dochodowym. Natomiast Amerykanie uważają stale Niemców za zachwiany koncern, któremu wystarczy zastrzyknąć parę milionów dolarów, aby go postawić na nogi. Nic się nie zmieniło od czasów Daves'a!

Jeżeli Amerykanie nie zrozumieją, że państwa europejskie są tak od siebie gospodarczo wzajemnie zależne, jak stan Pensylvanii od stanu New York lub Michigan, tak długo brnąć będą w stare błędy. W tej samej w stosunku do Niemiec gospodarczej zależności są wszystkie kraje kontynentu. Najbardziej niezależna była Polska i to z musu, bo ją Niemcy bojkotowały ze względów politycznych. Wbrew zasadzie bliższości rynków rozbudowywać musieliśmy jednostronnie i z mniejszym zyskiem nasz zbyt za morzami.

Małe narody Europy, które były dobrymi klientami zarówno Niemiec jak Zjednoczonego Królestwa, powinny połączonymi siłami walczyć o zasadę otwartych drzwi do Niemiec. W tej walce trudno mieć mądrzejszych przywódców, jak bajecznie gospodarczo wyrobionych Holendrów i Belgów.

Europa jest całością gospodarczą.

St. R.

TADEUSZ OKSZA

TAJNE ŚLEDZIE

Przed wojną stosunki handlowe polsko-holenderskie nie były specjalnie ożywione. Można jednak było zaobserwować ich stały rozwój. W ciągu ostatnich dziesięciu lat, poprzez okres kryzysu, udział Holandii w polskim handlu zagranicznym wzrósł z 3% do 5%, a udział Polski w obrotach holenderskich (o wiele wyższych niż nasze) z 1 do 2%. Teraz oczywiście wszystko się zmieniło i trudno w obecnych warunkach stosować przedwojenne miarki. Zanim, jednak przyjrzymy się bliżej tej sprawie, wypada opowiedzieć pewną... tajną historię.

Zaczęła się ona pół rok temu. W początkach czerwca zjawiła się delegacja holenderska w Warszawie. Oczywiście głównie jej leżał na sercu polski węgiel poza tym interesowała się żeglugą na Odrze i portem w Szczecinie. Wrażenia z wycieczki musiały być nie najlepsze, bo wszystko na czas dłuższy ucichło.

Władzom warszawskim był jednak jakiś układ koniecznie potrzebny. Przede wszystkim jako dowód „zaufania zagranicy do demokratycznego rządu polskiego", a powtóre jako pretekst do uzyskania kredytów. Sprawę uznano w Warszawie za tak poważną, że zrezygnowano nawet z przeprowadzenia jej, siłami domorosłych geniuszów. Kierownictwo delegacji zostało powierzone ekonomiście z prawdziwego zdarzenia, prof. Rose.

Początkowo, celem odbycia wstępnych rozmów, prof. Rose sam kilkakrotnie bawił w Holandii, a 7 listopada przybyła misja handlowa w komplecie, częściowo z Polski, częściowo z Paryża. Mimo przygotowania terenu pertraktacje toczyły się dość opornie, tak, że po kilku dniach bezowocnych rozmów prof. Rose zmuszony był wyjechać na tydzień do Londynu, a poważni Holendrzy wyrażali nawet wątpliwości, czy do podpisania umowy wogóle dojdzie. Po powrocie jednak szefa delegacji (około 19 listopada) rozmowy poszły jakoś raźniej i zostały zakończone w dniu 27 listopada parafowaniem trzech układów. Podpisał je ze strony polskiej prof. Rose, a z holenderskiej p. Spirenburg, referent układów międzynarodowych w ministerstwie handlu.

Tekst tak szczęśliwie zawartych układów nie został podany do publicznej wiadomości. Żądała tego strona warszawska, a jej rozmówcy jakoś się specjalnie nie sprzeciwiali, chociaż podobno ostatecznie wstrzymanie publikacji ma być tylko czasowe. W każdym razie, o ile przypuszczać należy, że gdyby chodziło, dajmy na to, o układ rumuńsko-bułgarski, to nikt by się nigdy nie dowiedział, co tam „demokratyczne" władze uzgodniły, o tyle na „reakcyjnym" Zachodzie sprawa wyglądała nieco inaczej. Holendrzy stanęli na stanowisku, że wolno wprawdzie tymczasowemu rządowi polskiemu ukrywać przed własnym społeczeństwem swoje zobowiązania, ale nie ma żadnego powodu, żeby oni postępowali tak samo. No i dość szerokie koła zainteresowanych zostały, oczywiście bardzo poufnie, poinformowane, jak się rzeczy mają.

Pierwszy z zawartych układów ma charakter umowy walutowej. Ustala on stosunek złotego do guldena. Stosunek ten jest ostatecznie podobno bardzo korzystny dla złotego, ale dokładna relacja nie jest jeszcze znana.

Następny układ zawiera wyliczenie towarów oferowanych i przyjętych do eksportu i importu przez obie strony. Posiada on trzy główne punkty:

1) Polska eksportuje węgiel (bardzo niewiele zresztą) i produkty chemiczne;

2) Holandia eksportuje śledzie i okręty;

3) marża clearingu do przekroczenia ponad umówioną kwotę wynosi 33%.

Ostatni wreszcie układ przewiduje udzielenie przez Holandię rządowi warszawskiemu kredytu towarowego na zakup statków do żeglugi przybrzeżnej i śródlądowej. Kredyt ten ma być spłacany węglem w ciągu trzech lat od chwili dostawy. Część blach do budowy zamówionych jednostek ma być dostarczona przez Polskę.

Dwa pierwsze układy zawarte są na okres jednego roku; wchodzą one w życie z dniem 1 stycznia 1947 r.

Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że mamy do czynienia z układem, który nie opłaca się żadnej ze stron go zawierających.

Niekorzystnym kursem rozrachunkowym i towarowym kredytem Holandia zapłaciła przede wszystkim za obietnicę dostarczenia znikomej stosunkowo ilości węgla, którego jej rozpaczliwie brakuje, ale którego dostawa jest więcej niż problematyczna. Faktem jest, że, mimo forsownego wydobycia, węgla dzisiaj w Polsce brakuje zarówno dla eksportu na zachód, jak i dla spożycia wewnętrznego. Pouczające są doświadczenia Szwecji, która, będąc partnerem geograficznie bliższym, znacznie wcześniej i pewniej na rynek polski wprowadzonym, przez długie miesiące nie mogła uzyskać więcej niż kilka procent uroczyście przyobiecanych dostaw. Nie pomogły kredyty, ani dostarczenie własnego taboru kolejowego. Prawda, że później trochę się poprawiło, ale ogólny rezultat daleki jest ciągle od zakontraktowanych ilości.

A cóż Polska? W dostawach holenderskich przewidziane są głównie dwie pozycje, statki morskie i rzeczne oraz... śledzie. I obie budzą najpoważniejsze zastrzeżenie co do celowości importu w tych właśnie dziedzinach, biorąc pod uwagę ogrom palących a niezaspokojonych potrzeb najbardziej przez wojnę zniszczonego kraju na świecie.

Najpierw sprawa żeglugi. W zawartych układach — w znacznej części w drugim, a całkowicie w trzecim — chodzi przede wszystkim o małe jednostki pływające. Otóż w tej właśnie dziedzinie trudności uruchomienia budownictwa krajowego na wielką skalę powinny być stosunkowo najmniejsze. Pomińmy już stocznie poniemieckie, gęsto rozsiane wzdłuż całego wybrzeża Prus Wschodnich i Pomorza Zachodniego. Sam fakt zawarcia podobnego układu świadczy dobitnie, że zostały one w chwili „wyzwalania" doszczętnie rozkradzione. Ale przecież pozostały zakłady w głębi kraju, jak stocznia modlińska, jak stocznia w Mosinie pod Poznaniem, jak stocznie śląskie — zdolne pokryć całe zapotrzebowanie na tabor śródlądowy. A na wybrzeżu mamy w każdym razie uruchomioną na wiosnę — znów według doniesień prasy krajowej — stocznię szczecińską i wreszcie zakłady w Gdyni i Gdańsku zatrudniające już w maju 5500 robotników, i które do tego miesiąca zdążyły wyremontować 108 statków o pojemności 116 tysięcy ton.

A teraz kwestia zamówienia taboru. Największy nacisk — i zupełnie słusznie — położono na tabor rybacki w którego budowie Holandia jest najbardziej wyspecjalizowana. Tymczasem prasa oddana reżimowi warszawskiemu, sygnalizowała w jednym tylko miesiącu czerwcu uzyskanie względnie odzyskanie 36 nowych wielkich jednostek. A po tym — ucichło.

Okazało się, że taboru jest raczej za dużo. I ryb też za dużo...

W ten sposób Polska stała się pierwszym na świecie krajem, który przeżył po wojnie kryzys nadprodukcji!

Nie chcę deklamować. Oddam więc po prostu głos „Dziennikowi Bałtyckiemu" (6.VI):

„3. bm. odbyło się w Gdyni zebranie Komisji Porozumiewawczej do Badania Koniunktur Na Rynku Rybnym (sic!), powołanej z inicjatywy Morskiego Instytutu Rybackiego. Konferencja stwierdziła dalszy spadek cen ryb spowodowany kurczeniem się, a nawet wręcz brakiem odbioru. Na przykład Wielkiej Wsi część połowów... nabyta została przez spekulantów po cenie 1 zł za kg., a reszta wyrzucona za burtę. W konsekwencji rybacy wstrzymują się od połowów. Stwierdzono dalej konieczność jaknajszybszego rozprowadzenie ponad miliona kg. solonego dorsza z magazynów portowych, gdyż grozi niebezpieczeństwo zmarnowania się tych zapasów."

A następnie:

„W związku z trudną sytuacją, w jakiej znalazło się polskie rybołóstwo morskie na skutek odmowy Ministerstwa Aprowizacji i Handlu odbioru nadwyżki połowów dorsza, w dniu 4 bm. wyjechała do Warszawy specjalna delegacja. Delegacja przedstawi ministrowi obecne trudności i złoży petycję domagającą się wydania zarządzeń o wprowadzeniu ryby morskiej na przydział kartkowy (!) przynajmniej w większych ośrodkach, oraz wstrzymania importu ryb świeżych lub solonych."

Nikogo już chyba nie zdziwi, jeśli się okaże, że przy zawieraniu haskich układów nie zasięgnięto opinii kompetentnych ani w sprawach żeglugi, ani rybołóstwa.

A „tajne śledzie" staną się jeszcze jednym smutnym symbolem

Z HUMORU ANGIELSKIEGO

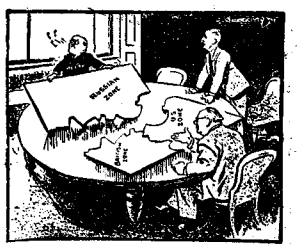

Ilustracja do wiadomości: Skończmy wreszcie z tą łamigłówką niemiecką! („Daily Herald")

KOMUNIKAT

Związku b. Kombatantów i Członków b. Ruchu Oporu w Nicei (Francja).

Żołnierze, podoficerowie i oficerowie, którzy podczas okupacji niemieckiej przebywali w departamencie Alpes Maritimes (Cannes, Nicea, Mentona) i brali czynny udział w ruchu oporu na terenie tegoż departamentu, proszeni są o zgłoszenie się listownie do p. Leonarda Kliksa — Nice (Francja) A.M., 14, rue Halevy, w celu wystawienia przez Związek legitymacji. Przy zgłoszeniu należy załączyć uwierzytelnione odpisy posiadanych dokumentów, wydanych bądź przez francuskie, bądź też polskie władze Oporu.

Związek b. Kombatantów i Członków b. Ruchu Oporu w Nicei (Francja).

PRENUMERATA z przesyłką pocztową:

W W. BRYTANII szylingów: miesięcznie 2/6, kwartalnie 7/, rocznie 25/. Należności za prenumeratę nadesłane czekiem, Postal Orderem lub Money Orderem przyjmuje przedstawicielstwo „Orła Białego" Gryf Publications LTD., 59/61 Hatton Garden, London E. C. 1. Tam też należy kierować poszukiwania osób i nekrologi.

W BELGII franków belg.: miesięcznie 20, kwartalnie 60. Należności za prenumeratę wpłacać na rachunek pocztowy Solange Philippe C. C. P. nr 785,066, podając na blankiecie tytuł zamówionego pisma i dokładny swój adres

WE FRANCJI franków fr.: miesięcznie 40, kwartalnie 120, rocznie 480.

W SZWAJCARII franków szw.: miesięcznie 1.50, kwartalnie 4.30. Należność za prenumeratę wpłacać białym czekiem pocztowym (mandat de poste interne) pod adresem: Fribourg 2, Case postale 36.

WE WŁOSZECH lir: miesięcznie 120, kwartalnie 360, rocznie 1440.

**W SZWECJI koron: miesięcznie 2.50, kwartalnie 7, rocznie 28. Prenumeratę przyjmują „Wiadomości Polskie